Nr. 6. Lwów, dnia 10. Czerwca 1894. Rok XVII



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Łowiectwo na powszechnej Wystawie krajowej.

I.

A więc stało się!

Zapowiedziana od dwóch lat powszechna Wystawa krajowa została d. 5. czerwca otwartą. Na prześlicznem wzgórzu parku Stryjskiego rozsiadło się 130 większych i mniejszych pawilonów, strzeliły do nieba licznemi wieżyczkami, łukami i kolumnami, górują nad młodą, bujną zielonością parku o przecudownej rzeźbie gruntu i przypatrują się grodowi lwa, który legł u stóp ich malowniczo i zmienia swą postać w zmiennych oświetleniach dnia...

Zasługa to natury, nie ludzi, że tak uroczem jest położenie Wystawy; lecz ludzie zasłużyli się tem, że umieli to położenie obrać i wyzyskać. Swojskie brzozy i świerki uzupełniono w górze egzotycznemi szpilkowcami, palmami, laurami, dracenami, agawami i tysiącem innych dekoracyjnych roślin, i stworzono z pustki czarodziejskie płaskowyże, z którego istny płaszcz rozkosznej zieleni spływa aż do miasta. W dole szemrze potok i gubi się wśród malowniczych brzegów stawku, w górze zaś biją wodotryski ze zwierciadła olbrzymiego basenu, ujętego w cementowe ramy i góruje, nito starożytna wieżyca rzymska, wieża wodna zasilająca obficie plac cały wyborną wodą...

Ale łowiec pomija pałac, przepełniony cudami przemysłu, przechodzi koło wspaniałego gmachu, poświęconego dziełom sztuki, lekceważy nawet palmy i araukarye i zmierza ku widniejącemu w dali fantastycznemu pawilonowi, gdzie leśnictwo i łowiectwo panowanie swe rozpostarło.

A widać już z daleka ów pawilon. Trzydziesto-metrowe maszty sosnowe i jeszcze dłuższe pnie świerkowe, kłody i bale dębowe olbrzymich rozmiarów, fantastyczne guzaki lip, poprzerastałe dziwacznie sosny, przekroje buków, jasionów, brzostów, modrzewie wspaniałe i brusy a brusy, deski a deski bez końca obsiadły go w koło. Opodal zieleni się prześlicznie założone rondo szkółek leśnych, wskazujące glebę, kultury i przyrost drzewa różnych stref leśnych Galicyi, w głębokim zaś parowie sąsiednim podziwia oko widza wspaniale i po raz pierwszy na wystawach w naturze przeprowadzone zabudowanie dzikiego potoku. I wśród takiego to otoczenia strzela w górę smukłą wieżycą o dwóch balkonach i piątrową halą pawilon niewymyślnej, ale gustownej konstrukcyi drewnianej. Liczne wrzosy, borówki, paprocie, limby, sosenki, świerki, wreszcie rośliny remizowe jak *Polygonum cuspidatum*, olbrzymi łubin i inne, zasadzone tu miast wątłego kwiecia, liczne rosochy jelenie i łby dzików, wreszcie ornamentyka pawilonu, kończąca się na korze drzewnej i sieciach, wskazują ci wyraźnie, żeś wstąpił w królestwo leśnika i myśliwego.

Nim jednak zapuścisz się w głębie tego królestwa, zatrzymuje cię jak giermek stojący na straży pawilonik Marszałka krajowego, ks. Eustachego Sanguszki, zastosowany przedziwnie do całego otoczenia. Niewielki on, ale cóż to za pieścidełko od podwaliny aż do szczytu! Nic tylko kora świerka, sosny i brzeziny — nic tylko okrąglaki nieokorowane i krzywaki gałęzi — a ileż tam przecudownej symetryi i prawdziwie szlachetnego gustu! Lecz nietylko zewnętrzną swą szatą imponuje. Możnaby o nim powiedzieć po rusku: „małeńki ałe ważneńki“, bo w najprostszych formach, z szczerością wolną od wszelkiej przesady, przedstawia gospodarstwo rolne, pastewniki na piaskach, plany osuszania i nawodniania łąk, przekroje drzew, suszarnie i nasiona leśne, drapieżnych nieprzyjaciół łowiectwa, trofee myśliwskie, a nadewszystko pyszne i wielce pouczające okazy gospodarstwa rybnego z hrabstwa Tarnowskiego.

Już cię więc przygotowuje ów giermek do tego, co masz ujrzeć, gdy wstąpisz w progi drewnianego dworca, którego wrót strzeże olbrzymia bryła skamieniałego drzewa, jakby przestroga, byś nie skamieniał z podziwu.

Na kwadratowoj niemal przestrzeni około 300 metrów wznoszą się tu ściany wysokie, wybite wewnątrz produktem leśnym, celulozą — okolone szerokim gankiem, z którego wychodzą na zewnątrz dwa balkony z prześlicznym widokiem na cały plac Wystawy. Nie ma tu żadnych barw, żadnych flag. Blado-zielona powłoka ścian i ciemno-zielone słupy przypominają jedynie las i ubiór myśliwca, światło stłumione, przedzierające się przez matowane okna jak przez poranne opary leśne, wywołuje złudzenie wnętrza kniei. Z pomiędzy tłumów głównego corsa Wystawy wchodzisz zatem odrazu w cienisty, głuchy ostęp leśny i spotykasz się tu w koło ze wszystkimi znajomymi, których już w kniei spotykałeś, lub których ci wyobraźnia w snach myśliwskich malowała.

Zaczynajmyż więc od środka i przejdźmy w kółko od prawej strony ku lewej.

W pośrodku wznosi się cis (*Taxus baccata*), niewątpliwie 300-letni, przywieziony w ciągu zimy z gór Sanockich z poza Brzozowa, mający około 6 metrów wysokości, a zasadzony tu z korzeniami. Dziki ten reprezentant wymierającego gatunku szpilkowców, nie czuje się swojskim ne cywilizowanym gruncie Wystawy. Zrywał się pod wiosnę do życia, ale powiewy górskich zboczy leśnych powstrzymał dach pawilonu, soków rodzinnej gleby nie chce mu dostarczyć glinka stryjskiego parku — opuszczają go więc siły żywota, szpilki żółkną i wątpić należy, czy staruszek wróci już do życia. Cokolwiekbądź stoi dziś jako jeden z ostatnich swego rodu i mimowoli ciągnie wyobraźnię widza ku tym odległym wiekom, gdy to drzewa cisowego używano na maczugi, drzewce do dzid, łuki, kusze, obręcze pod zbroje itp., lub z potężnych berwion cisowych wiązano zręby chat i kontyn, które wieki przetrwały, a dziś chyba tylko w skazce lub pieśni ludowej dają świadectwo, jak w naturze giną całe gatunki, robiąc miejsce nieznanym formom przyszłości i jak przelotną chwilką jest życie człowieka wśród olbrzymiego gospodarstwa przyrody...

Bardzo słusznie poświęcono staruszkowi temu cenną rozprawę Władysława Spausty „Cis“. Rozłożona na klockach opowiada ona po raz pierwszy jak najszczegółowiej dzieje cisa i kreśla jego przyrodę*).

Ponad cisem, u samego stropu hali, buja orzeł płowy z rozpiętemi skrzydłami, inne z wiązań dachowych zrywają się do lotu, a na gałęzi cisa siedzi tokujący cietrzew.

Wśród skał, mchów, paproci, wrzosów i świerczyny taż sama dzika natura u stóp cisa. Leży tam potężny niedźwiedź, ciemno-brunatny, a obok siedzi żółty kundys i głosi, drugi zaś, śniado-płowy, na niskich nogach, jedna z tych zażartych pijawek, które czasem cudów dokazują na polowaniach na grubego zwierza, zbliża się do mysia na poły z niedowierzaniem, na poły z ciekawością. Pyszna i wymowna grupa.

Po drugiej stronie siedzi na zadzie stary odyniec, sztuka gruba o potężnych szablach, zasuty dołem czarną, leśną ziemią, którą w koło rozbuchtował.

Zwróciwszy się stąd nazad ku głównemu wejściu nie można się dość nasycić widokiem pysznej dekoracyi, jaka tu ze „sztreki“ zwierząt łownych, sieci, podrywek, pastek wszelkiego rodzaju i charakterystycznych okazów broni kłusowniczej utworzoną została. Obok całych zwierząt wiszących, jak wilk, lisy, sarna, borsuk, kuna, czaple, dzikie gąski, kaczki i inne, suszą się skórki ściągnięte, a wszystko grupuje się w portal, godny pawilonu poświęconego łowiectwu.

I oto mamy go, tego kłusownika, tę postać fantastyczną a tak niebezpieczną dla racyonalnej gospodarki łowieckiej. Jest to manekin, scharakteryzowany wybornie, klęczy na jednem kolanie wśród szuwaru, głęboko aż na twarz ogorzałą spada mu stożkowa czapica, pleciona z sitnika, takiż sam kaftan zielony z traw moczarowych okrywa mu ramiona, kurczowo zaciśniętą dłonią trzyma fuzyjkę oryginalną na kolanie i wytężonym wzrokiem śledzi ptactwo wodne wśród szuwarów.

I istotnie gromadzi się koło niego wodne ptactwo na swych charakterystycznych siadłach i przy gniazdach z jajami, są tu perkozy i mewy, śmieszki i kaczusie, czajki i czaple i Bóg wie co więcej, a zdaje się, że frunie ta zgraja lada chwila i z rusznicżki kłusowniczej padnie strzał pod niebiosy.

W kącie wychodzi ogromna samura z barłogu i na cały ten drobiazg ptasi nie zwraca najmniejszej uwagi.

I już grubszy zwierz, przeplatany okazami ptactwa, łbami dzików, wieńcami jeleni, całemi tablicami parostków i przepysznych myłkusów, szereguje się pod ścianą na lewo, a wspina się w górę skaczącemi żbikami i rysiami, których moc wielką w najrozmaitszych pozycyach pawilon łowiecki nagromadził.

A są tu znowu grupy i sceny zasługujące na najpilniejszą uwagę. Oto dwa duże wilki obok siebie; jeden orze łbem po ziemi i stara się wyrwać z żelaz, które go chwyciły za szyję, drugi siedzi z takim wyrazem, jak gdyby chciał mówić do kolegi: „Cóż ja ci na to poradzę?“ — choć w oczach mu napisano, że skoro żelaza dzieła zniszczenia dokonają, nie pogardzi pieczenią z szanownego koleżki.

W dalszym ciągu, między dwoma podnoszącymi się na tylnych łapach mysiami, z których jeden jest cenną pamiątką po Kazimierzu Wodzickim, rozpostarły się piękne trofea Towarzystwa lisowieckiego. Mniejszy z mysiów trzyma z partesa wielce ciekawą tablicę strzałową rzeczonego Towarzystwa za przeciąg 23-letni, a w dole pod ścianą srogi basior stanał przedniemi łapami na biednego siarniuczka, kica i już się do jego skóry dobiera. Między trofeami zajmującą jest całkiem biała kuna i dzik z wrośniętą szablą, ubity przez hr. Szembeka.

Nareszcie zbliżamy się ku przeciwległemu kątowi, który znowu inny ma charakter, gdyż poświęcono go przeważnie okazom retrospektywnym z zakresu łowiectwa — a w głębi, nito obraz fauny, która także stanie się po jakimś czasie wspomnieniem retrospektywnem — wychyla się potężny łeb

---

*) Władysław Spausta „Cis“ Lwów 1894.

żubra na tle całej skóry tego zwierza, oraz łeb dużego łosia, na skale leży kozica, z nory wygląda świstak, ogryzający gałązkę, orzechówka i pomurnik z różowemi skrzydełkami pełza po kamieniu... Kilkanaście sztuk starożytnej broni łowieckiej, śliczne łuki, sajdaki i kusze, kilka trąbek i rożków, kilka przedmiotów kopalnych, jakaś kurtka zielona, pamiętająca czasy dawne i lepsze, uzupełniają ten wdzięczny obraz. Najbliżej widza, na stoliku o łosiowych badylach, złożono szesnaście roczników „Łowca". To także kawałek historyi myśliwstwa polskiego.

Środek ściany, naprzeciwległej wchodowi, zajął myśliwski pokoik ze znaczną ilością nowożytnej broni, urządzony przez A. Dzikowskiego. Znawcy ocenią i słuszne zapewnie oddadzą pochwały broni myśliwskiej, wykonanej w kraju przez tę firmę, a oraz parze pistoletów pojedynkowych, istnemu cacku, które w całości pracownia p. Dzikowskiego wydała, lecz znajdą także wyborną broń obcego pochodzenia i wytworne przybory myśliwskie. Cały proceder wyrobu jałowcowych rogów myśliwskich, najrozmaitsze wabiki, ski norweskie, mebelki i rozmaite przedmioty elegancyi myśliwskiej zdobią poważnie ten pokój.

Poza nim ustawili w gablocie broń łowiecką niemałej wartości rusznikarze lwowscy Kopczyński i Szatkowski. Są tu sztuki całkiem nowe, a oraz takie, które już od kilku lat w rękach najcelniejszych myśliwych naszych zdały egzamin doskonałości.

Pod oknami na stołach, nito nasiona czy owoce w koszyczkach, nęcą wzrok okazy, z których sobie profan sprawy zdać nie umie. Kobiety pytają: Co to? i niełatwo dać im odpowiedź krótką a jasną. Myśliwy kieruje się po nich w kniei, odgaduje obecność zwierza, ale tak jak tu, w koszyczkach, trudno objaśniać, że to... pomioty zwierząt łownych. Kolekcya to wielce ciekawa i udatna, zestawiona przez p. W. Spaustę, który podał też obok mięszaninę na lizanki sarnie, wyborne zestawienie rozwoju parostek i preparaty motylicy, znalezionej w chorych sarnach.

I znowu przechodzimy po przed setki najpyszniejszych rożków i myłkusów, których w ogóle nadzwyczaj wiele zebrano. Jest tu między innemi sławna kolekcye 185 myłkusów po śp. E. Simonie, zbiory Juliusza Bielskiego, Słoneckiego, St. Stadnickiego, K. Badeniego, J. Brnnickiego z pyszną głową kozła, albinosa, o myłkusach okrytych prześlicznym scypułem, i wiele innych. Dołem przypominają się zaś szerokie łany Podola, bo oto pyszne dropie koło siebie i strepet i siewka, a dalej pelikan baba i gęś siwa, które nas już wprowadzają do zbioru, zestawionego przez druhów Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta we Lwowie. Zbiór to poważny i wszechstronny, jest tu i łeb jelenia dwunastaka, ubitego przed trzema laty w Smorzu, i borsuk prześliczny, wychodzący z nory i lis w kółko zwinięty, głuszec, cietrzewie, piękna czapla ruda, kulony, słonka, wszelkie ptactwo błotne, w ogóle wdzięczny obrazek całej niemal naszej fauny łowieckiej.

Pominąwszy drzwi, wiodące do oddziału leśnego, widzimy jeszcze kilka drapieżców, a między niemi bardzo ciekawy egzemplarz kota o ciemnem, pręgowanem futrze, lecz z białemi plamami, którego podano za mięszańca żbika z kotem domowym, i [kończymy na prześlicznym niedźwiedziu karpackim, który przedstawiony jest w chwili, gdy się schwycił łapą w nastawioną chłopską „stępicę".] Jako okaz sztuki wypychania zwierząt jest to *non plus ultra*. W oczach maluje się ból, a z otwartej paszczy zda się wydobywać ryk złowieszczy.

I oto spacer pobieżny w około hali łowieckiej..

Na balkonie, obok okazów przemysłu leśnego i nad mapami, mieści się jeszcze niejedna trofea łowiecka, jest i pouczający zbiór szkód leśnych przez zwierzynę, zestawiony ręką niezmordowanego W. Spausty; toż samo i w końcu działu leśnego mieści się jeszcze ciekawa kolekcya broni, przedstawiająca rozwój broni palnej od kusz i skałkówek aż po nasze czasy, zestawiona przez firmę Pilecki i Ska we Lwowie. Łbów, całych rabusiów ssących i lotnych, ciekawych wybryków natury, jak np. zupełnie biała sarna, myłkusów nadzwyczajnej wartości jest i tutaj dużo.

Las i łowy spływają się zatem w jedno i dają obraz nad wyraz wdzięczny i wspaniały. Ale trzeba było nad tym obrazem pracować z niezmordowaną energią i poświęceniem, z przedziwnem znawstwem, z artystycznym smakiem i z taką miłością przedmiotu, do jakiej tylko zapalony łowiec jest zdolnym.

To też najgorętszą wdzięczność winna Wystawa pp. St. Matkowskiemu, Wład. Spauście, St. Szembekowi, A. Góralczykowi, S. Głowińskiemu i E. Oczosalskiemu, którzy piękny ten pawilon instalowali.

Na razie przebiegliśmy go pobieżnie i daliśmy obraz całości; wrócimy jeszcze do szczegółów.

JUBILAT.

— Prociu! Bij sia Boha, dawaj żywo prucia, bo zhynu!

Takie słowa wydobywały się z moczaru w dorzeczach Dniestru około ćwierć wieku temu, a o kilkanaście kroków stamtąd przy brzegu trzęsawiska stał chłop sędziwy, u stóp zaś jego leżała wiązka pręcia łozowego, a on zaginał końce prętów i kręcił w ogniwa, składając je w długi sznur.

— Zara, zara, bo szcze ne siahne — dudniało flegmatycznie z gęby chłopa. I kręcił zawzięcie wicinę, spoglądając chwilami w ową stronę, skąd dochodziły go głosy prośby i chlupanie błota. Wyglądała tam tylko głowa i ręce z czerwonej rudawiny, i jedynie lufa dwururki widniała na powierzchni zdradzieckiej toni. Była to ta sama głowa, która i dziś jeszcze dzięki Prociowi noszę na karku, co prawda zmieniona nieco, bo czas i tu wykonał wielkie, a niestety nie dające się zalesić zręby — była to ta sama dwururka, która do dziś wisi w archiwum mojej zbrojowni.

Rozpaczliwą sytuacyę sprowadził całkiem zwykły wypadek, którego domyśli się łatwo czytelnik-myśliwy. W skwarnym dniu sierpniowym z okna mieszkania widziałem uwijające się nad moczarami krzyżówki. Młodość i gorączka my-

śliwska zagnały mnie daleko — jeden krok nieostrożny i przerwało się pływające torfowisko, zabełkotało coś od spodu, czerwona jak krew woda bluznęła ku górze i jakiś potworny demon ciągnął me nogi coraz głębiej w jakieś zimne warstwy. Wszelkie ruchy ku wydobyciu się z tej zakazanej matni wprost przeciwny wywierały skutek; grzązłem coraz dalej, paliło się w głowie, a nogi sztywniały pod wpływem zimna.

— Ha, raz kozie śmierć! — myślałem, ale żal było młodego życia, żal tych wszystkich nie przeprowadzonych w praktyce agronomicznych teoryj, któremi nabitą była świeżo moja mózgownica, i które teraz utonąć miały raz na zawsze wraz ze mną. Z całego ciała ku głowie zbiegła krew, dziwne w mózgu wytwarzając obrazy. Cała paczka czarnych togowych znakomitości w żałobnym korowodzie żegnała mnie na zawsze; w tempie powolnem postępowały tam postacie Boussignaulta, Gilberta, Liebiga, Growena, Henneberga, Lawesa, Muldera, De Barry, Kühna, Settegasta, Weckerlina, Schumachera, a w końcu i stary Dombasle Napoleończyk i wielu innych.

— Przepadliście już na tym płatku polskiej niwy, nie przejdą wasze genialne teorye ogniowej próby doświadczenia — myślałem, chlapiąc rękami po błocie, podczas gdy nogi były jak związane, i z rezygnacyą oczekiwałem, kiedy nadpłynie łódka Charona.

Wtem słyszę szelest w krzakach i ochrypły głos zda mi się dźwiękiem anielskiej jakiejś muzyki.

— Zaczekajte! Ne kedajte sia, až prutia zwiažu!

Już go poznaję, ale jeszcze nie widzę. To poczciwy Proć, bednarz. Zbliżający się sezon kapuściany zagnał go tu po obręcze do beczek. Nie zapadał on, bo znał od dzieciństwa wszystko, co się tu nad ziemią i pod ziemią dzieje; stał bezpiecznie na jakiejś kępinie, i gdy ja piekielne przechodziłem męki, on, ukończywszy z całym wrodzonym pedantyzmem swoje dzieło ratunkowe, rzucił długą wiązankę pręcia ku mnie. Chyba za brzytwę byłbym w tej chwili uchwycił, a nie dopiero za wicinę zbawczą. Wyciągnąłem rękę jak daleko mogłem, kurczowo ścisnąłem pręcinę, a stary jął pociągać, ile mu sił starczyło. Z początku szło dość opornie, nóg nie podobna było wydostać z przeklętej głębi; dopiero gdy pociągany przód ciała przeszedł w ukośne położenie, począłem pruć brodą po błocie, i wydobywszy się wreszcie całą długością ciała na wierzch, mało co zanurzony odbywałem dalszą szlichtadę ku zbawczej kępinie, na której Proć stał bezpiecznie.

— No, sława Tobi Hospodu! Szkoda by Was buło Panyczu, teper możete sobi wże bezpeczno sisty, bo tu staryj peniok w bołoci stromyt.

Z głowy mej ciurkiem lał się pot, nogi drżały z zimna i wytężenia, w krzyżach ból — siadłem rzeczywiście na wskazanem miejscu, gdzie miał tkwić stary pniak, i żaden mocarz świata nie zasiadał z taką lubością na swym tronie, jak ja podówczas. Przeszedłszy piekło za życia, święciłem drugie narodziny i może warto było przechodzić te chwile utrapienia dla tego błogiego uczucia, z jakiem witałem teraz ponownie świat.

Duch mój rozpływał się w niemych objawach wdzięczności dla mego zbawcy, który zajęty był teraz rozwiązywaniem pręcianego łańcucha i składaniem prętów w wiązkę.

— Czemże Wam się odpłacę, poczciwy Prociu? Uratowaliście mi życie — przemówiłem wreszcie.

— To durnycia, kobyśmo tylko zdorowi buły — odrzekł na to stary, posunął nieco na bakier kapeluch, poskrobał się w głowę i jakby z przymusu dodał:

— Kołyś ja sia tam dowidaju, ta daśte meni kołodku na klepki. — I jął już piędzią mierzyć na pręcie długość potrzebnego mu materyału, a ukończywszy wymiar i uciąwszy gnypem pręt miarowy, położył go na ziemi obok mnie.

Podziękowawszy jeszcze raz całem sercem Prociowi, zwlokłem się przy jego pomocy i zaciągnąłem do domu.

Nie spełniło się wszechstronne życzenie Procia. W kilka miesięcy, już po ukończeniu sezonu kapuścianego, zaniemógł biedaczysko, a trapiąca go od dawnych lat dychawica w zastraszający wzmagała się sposób. Odwiedzałem go kilka razy, lecz nie było już rady.

— Ja wże staryj czołowik, treba meni wże umeraty— powtarzał po kilkakroć ze stoickim spokojem.

Aż wreszcie przybiegła pewnego poranku jego babina, prosząc w imieniu chorego męża o dwie tarcice na „derewysko" (trumnę). Sąsiad najbliższy, samouk stolarz, wziął miarę z żyjącego jeszcze człowieka, zbił trumnę, baby nocami uszyły „fancia"*), a gdy wszystko już było gotowe, Proć umarł.

Niech ci będzie lekką ziemia, mój wybawco! Więcej moc ludzka nie może ci przesłać w zagrobowe kraje.

* * *

Po powrocie do domu ułożyłem się w łóżku i zasnąłem. Żółty blask wschodzącego słońca przebudził mnię. Chciałem powstać, ale nie szło. Szalony ból w krzyżach przy najmniejszem poruszeniu wzmagał się, nogi nie chciały słuchać rozkazów woli, pozostawałem w rozpaczliwym stanie, uczuwszy się niedołężnym po pierwszy raz w życiu. Gorżko przebiedowałem dzień cały, wyczerpawszy z gorączkowym pospiechem cały skarb t. z. środków domowych. Pod wieczór kazałem sobie wreszcie wysmarować krzyże „Restitutionsfluidem" końskim. Mimo to rano na drugi dzień — a była to sobota — stan mój był taki, że po pierwszy raz w życiu zapragnąłem lekarza.

Zamieszkując niedawno w tej okolicy, nie wiedziałem, czy najbliższa mieścina coś podobnego posiada. Dlatego też korzystałem z porady mego starego służącego, któregom odziedziczył razem z inwentarzem po moich poprzednikach. Cierpiał on wprawdzie na epilepsyę i był lunatykiem, straszył ludzi po nocy, ale do tych ułomności ciała przyzwyczaiłem się prędko, i zamiast w domu dla nieuleczalnych, urządziłem mu za parawanem w kredensie spokojną sadybę. Służył mi zresztą dobrze pomimo swych braków fizycznych i pomimo pewnej manii, która nie wiem, czy była w jakim związku organicznym z jego defektami. Była to w pewnym kierunku do wysokiego stopnia rozwinięta mania prześladowcza, na szczęście skierowana jedynie ku wszystkim kotom i psom, wałęsającym się w granicach obszaru dworskiego. Mania ta nie gruntowała się bynajmniej na jakiejś krwiożerczej żyłce, nie polegała na chwalebnych zamiarach dla łowiectwa — nie, powody jej leżały w czysto utylitarnych bezpośrednich względach. Każdy kot był dla niego chodzącym kapczukiem albo kawałkiem rękawa do futra, każdy bryś parą a co najmniej jednym ciepłym butem. Pokryjomu łapał więc ofiary w rozmaite swego pomysłu przyrządy, to znów strzelał je, dorwawszy się byle jakiej broni palnej, i uprawiał sport ten przez rok cały, a odczuwając ogromny zapał i genialność w przemyśle białoskórniczym i szewskim, wyrabiał stosownie do pory i sezonu rozmaite artykuły, któremi za swym parawanem w kredensie prowadził dość intratny handel.

*) Bielizna pośmiertna.

Perfumerya ta, na którą tak mój poprzednik jako też i ja przez palce patrzyliśmy, dokuczyła jednak od czasu do czasu tak dotkliwie innym organom zmysłowym, że pozycya Pawłunia (gdyż tak go ochrzczono przed pół wiekiem przeszło) stawała się chwiejną. Cały zapas gotowego towaru z za parawanu wędrował wówczas w gościnę do jakiego kuma w sąsiedztwie, kuma mniej wrażliwego, i pozycya Pawłunia się ustalała, a zapasy wracały po niejakim czasie na swe dawne składy.

— Pawłuniu! Nie ma tu gdzie blisko jakiego doktora? — zapytałem pełnym rozpaczy głosem krzątającego się w pokoju famulusa.

— Ta czemu nie ma, proszę pana? Jest, zaraz tu w miasteczku, wun jeździ po wszystkiem państwie, taj kuruje żydów i ludzi. Wun je duże dobry doktor, nawet sam robi lekarstwa, taj nie trza dubelt płacić. Aj! toż to win psy utrymuje!... — dodał w końcu — toż to tam futro, aż wyłyskuje.

Poszedłem za radą Pawłunia i kazałem zaraz posłać po lekarza. W niespełna godzinę, wśród piekielnych wrzasków całej psiej zgrai, stanęła moja bryczka już z powrotem przed gankiem domu. Z łóżka mogłem widzieć całą tę scenę. Pawłunio pomagał w złażeniu podeszłemu już w latach mężczyznie, na około bryczki szczekały i gryzły się psy, a było tam 6 sztuk, 3 jakieś obce gończaki, mój kurlandczyk i dwa na wolnej stopie chodzące kundysy.

Przybysz, stanąwszy już na schodach ganku, coś na migi rozmawiał z furmanem, bo trudno się tam było słowem porozumieć, Pawłunio zaś, zbrojny już teraz w długą pokojową szczotkę, czynnie wśród psiej walki interweniował. Wszystko to jednak było nadaremne, namiętności rozpalały się coraz straszniej, wrzawa stawała się coraz większa, aż nareszcie za przybyszem wcisnęły się gończaki do kredensu, za niemi poszły psy moje i pole walki przeniosło się pomiędzy mury. Gończaki za parawanem zajęły silną pozycyę, i gdyby nie dowcip Pawłunia, cała historya, w tej atmosferze, podniecającej psie nerwy wyziewami z śmiertelnych resztek ich współplemieńców, krwawy mogłaby wziąć obrót. Ale konewka zimnej wody uspokoiła wszystko i cała kawalkata z urywanym żałośnym skowytem wyleciała na podwórze.

Lekarz wszedł do pokoju.

— Servus, servus dobtodzieju! — wołał już u progu.

Był to mężczyzna około lat 60, wzrostu małego, o włosach bujnych, twardych, jak szczotka sterczących, i podobnych wąsach i brwiach, które co do rozmiarów mało co wąsom ustępowały. Jakiś zarost, niby to broda ale pod brodą, ramował w półkole od ucha do ucha całą tę czerwoną twarz, w której nie można się było dopatrzyć wyrazu, bo oczy kryły się szczelnie pod parą wielkich zielonych okularów. Ponad wszystkiem panował wielki, mięsisty nos, mieniąc się na swej poturbowanej powierzchni wszystkiemi barwami tęczy.

Długi, ciemno-zielony, o wąskich rękawach surdut okrywał tę figurę, a podbrodowy wianek zarostu wspierała sztywna, szeroka, żółta chustka na szyi. W ręku trzymał fajkę o długiej kiszce i czapkę nie licującą ze skwarnym dniem, czapkę filcową z wielkim daszkiem. Żywym jak na swój wiek krokiem zbliżył się do łóżka i usiadł.

Przyznam się, że na widok tej niezwykłej figury, której opiece trzeba się było ślepo powierzyć, zapomniałem na chwilę o wszelkich dolegliwościach, i tylko ukradkiem podglądałem pod zielone okulary, opowiadając genezę i symptomaty choroby.

— No! no! będzie dobrze, czego nie bywało! — brzmiała wreszcie prognoza po dokładnem lokalnem zbadanik. prognoza dla mnie nie bardzo pocieszająca i nie budząca wielkiego zaufania do sztuki lekarza, nie wiedziałem bowiem dotąd, że owe „czego nie bywało“ było jego ulubionem przysłowiem, którego nieraz w sposób bardzo niefortunny używał. Lecz dyagnoza moja, przeprowadzona pod zielonemi okularami, okazała, że nieźle tam patrzyło z siwych małych ócz oryginalnego doktora, więc oddałem się mu w opiekę.

— Kaczki, kaczki tej biedy narobiły — mówił lekarz — bo też to wy młodzi skandale wyprawiacie po tych tam przeklętych bagnach. Ja, Dobrodzieju, w życiu mojem czegoś podobnego nie doświadczyłem, bo też i marcypanem nie zwabiłby mnie w te moczary. Po co życie ryzykować dla tego podłego pierza (a „pierzem podłem“ był dla doktora każdy ptak łowiecki), co się tam łomoce po krzakach i wodach A niech kaci tak polują — czego nie bywało.

Tu powstał, okulary podniósł na czoło i przybrał poważną minę.

— U mnie, Dobrodzieju, inne polowanie, w kniei, z pieskami... zajączek. — Lecz nie mógł utrzymać dalej tonu spokojnego, oczy mu się zaiskrzyły, palcami po stole robił jakieś komiczne ruchy, niby kicanie szaraka przedstawiając.

— Kota ha! sa, sa, kota! — nawoływał niby w kniei — dziau, dziau, coraz bliżej, bliżej, już gonią na oko — wtem puk! — i cybuchem naśladował strzelbę, na kułaku trąbił odprawnego, a wypatroszywszy symbolicznie zająca i obdzieliwszy pieski, zmęczył się już stary, nasunął znów okulary i kończył z pedagogicznym spokojem:

— To mi to polowanie! Nóg nie zmarnujesz, po królewsku się zabawisz, no i w końcu dobrą pieczeń zjesz, czego nie bywało.

Ale spokój ten trwał tylko chwilę. Jakaś myśl spocząć mu nie dała. Zerwał się.

— Ale! ale! Moje pieski gdzieś tam są na podwórzu. Dobrodzieju! Co to za mądre kanalie, to świat się kończy! — I poszedłszy ku oknu, rozglądał się chwilę i nawoływał: „A tiu, a tiu!“ — a nie dojrzawszy niczego, zasępił się i wyrzekł z wielką w głosie goryczą:

— Pewno kanalie do domu pognały! A niech was kaci porwą. Szabas jak w błoto wrzucił, czego nie bywało.

Z tego całego monologu w oknie mało co zrozumiałem. Stary, widocznie zapalony gończak, wpadł w ferwor. Ale co za styczność miał szabas z ucieczką psów, tego pojąć nie mogłem.

Zaleciwszy mi spokój, poty i lekarstwo, które z powrotem podać miał przez furmana, pożegnał mnie znów „Servusem“.

Czy to poty, czy też ogromna flaszka lekarstwa, z którego, nie wiedząc jak go używać, urządziłem sobie mniej ryzykowne smarowanie, oraz okłady — czy też wreszcie sama młodość — dość, że po kilku dniach zapomniałem o chorobie i byłem znów gotów odbyć wycieczkę na błota. Ciągnęły tam syrenie głosy kaczek, i aż w późną noc rozlegał się gwar różnorodnego ptactwa błotnego.

Ani wypytywałem o osobę lekarza, ani nie pozostawałem z nim w żadnej zresztą styczności, a jednak po kilku tygodniach, chcąc nie chcąc, byłem już poinformowany dokładnie co do wszelkich szczegółów życia tej z wielu względów niezwykłej osobistości, a to dzięki niedyskretnej ciekawości ludzkiej, która i w oddalonych zaułkach świata śledzi argusowym wzrokiem każdy szczegół życia kochanych bli-

źnich. Z tej tedy językcznej fabryki, zastępującej w świecie deskami zabitym nadużycia plotkarskiego dziennikarstwa, dowiedziałem się o doktorze wiele prawdy i wiele fałszu, jak zwykle, gdy „opinia publiczna“ alias „złe języki“ sąd krytyczny o rzeczach i ludziach wydają.

Skromny nasz bohater mieszkał w małem miasteczku, wypełniając swą osobistością aż po brzegi miarkę inteligencyi miejscowej, mówię „po brzegi“, bo wszelki przybytek tego artykułu musiałby już zmarnieć w skutek braku miejsca. Tuż w sąsiedztwie obok mieszkania naszego bohatera, jak to niegdyś bywało przed tysiącami lat, sędziwy rabin cudotwórca zlewał gojące balsamy na wszelkie słabości ludzkie, i jak to znów może nie bywało, ściągał wraz z całym sztabem podrabinków gruby aequiwalent w zamian za swe cieńkie natchnienia prorocze.

Przy swej realności utrzymywał lekarz ćwierćmorgowy zwierzyniec, w którym na pożytek ogrodów sąsiednich hodował mnóstwo królików, uśmiercając je od czasu do czasu, jak ongi Władysław IV. w zwierzyńcu Ujazdowskim, z ptaszniczki, gdy inne jego rewiry myśliwskie nie dopisały. A były to wielkie rewiry, na wszystkie świata strony w promieniu co najmniej dwumilowym, jak daleko sięgało imię bohatera, t. j. jedynego w tej okolicy ucznia Eskulapa. Lecz nie zapuszczał on się zbyt głęboko w tajnię kniei, byłaby to zresztą rzecz zbyteczna, bo zając, ta jedyna zwierzyna wstrząsająca całym systemem nerwowym i podniecająca bicie serca naszego doktora, zwykł był przebywać od brzegów przy drogach, w pewnych tylko ściśle ograniczonych miejscach, które nietylko on znał wyśmienicie, lecz także jego trzy gończaki, czarny podżary Szumlas, żółta Lutnia i do tatka podobniusieńki Śpiewak.

Gdy się kiedy zdarzyło, że psy doktora wpadły na trop innego zwierza, co zaraz najdokładniej po „cukrowaniu“ (głosy psów) poznawał, strębywał psy, a gdy to nie pomagało, z bronią na ramieniu podchodził pod gon i tu znów głosem nawoływał: „Porzuć! Sa tu!“ aż do skutku. Oprócz zająca, żaden zwierz go nie zajmował, nie mówiąc już o ptactwie; lis, to była zdaniem jego chłopska zwierzyna, sarna, to dla wielkich panów, a dzik — no, ten dawał mu dużo do myślenia. To za gruba sztuka, mawiał, za wiele z tem ambarasu, a wreszcie nawet amunicyi dla niego nie posiadał, bo stara jego ferlachówka innego ołowiu jak na zajączka nie znała.

Łowy swe wyprawiał wprawdzie przez rok cały, ale raz tylko na tydzień, t. j. w dniu szabasowym. W tym dniu cała okolica nie śmiała chorować, bo jedyny lekarz siadał po śniadaniu na bryczkę, zabierał psy, a stary jego furman szabasowy, Szymon, będący w ciągu tygodnia laborantem do rozmaitych mikstur, dekoktów, smarowań i t. p., wiózł go po kolei na dobrze znane zajęcze stanowiska.

Nie studyjąc nigdy prawa, bohater nasz był z urodzenia wyznawcą kodeksu rzymskiego, w szczególności co do łowiectwa. Każdego innego czynne wyznawanie takiego kodeksu byłoby już dawno przed kratki sądowe zaprowadziło, ale lekarz, jedyny lekarz w okolicy, miał swoje przywileje i mógł uważać zwierza jako rzecz niczyją.

— Jest to *res nullius* — mawiał — ani ja, ani właściciel lasu na niego nie pracował, czego nie bywało, rodzi się to i rośnie na pożytek temu, kto go dostać potrafi.

Całe dalekie sąsiedztwo tolerowało jego łowy, wszędzie znane i szanowane były jego gończaki, a choć nieraz przeraźliwą nutą odbijała się w uszach niejednego myśliwego gra psów doktorskich i „achy“ jego wiecznie zachrypniętej trąby, to szanowano przecież jego instynkty zachowawcze, gdyż bohater nasz ubiwszy jednego zajączka, kończył łowy, trąbił na psy i po kilku popasach w tych przydrożnych przybytkach, których się mijać nie godzi, powracał wieczorem do domu.

— Ja nie handlarz — utrzymywał — dosyć mi jednego zająca, reszta niech rośnie, las to najlepsza spiżarnia. — I trzeba mu przyznać, że nigdy więcej krwi nie przelewał, zadowalniając się tym jednym zającem, którego od stałego dnia łowów „szabasowym“ nazywał.

Do wszystkiego na świecie można się przyzwyczaić, toż i moje myśliwskie nerwy przywykły powoli do tych szabasowych wycieczek lekarza, widywałem bowiem najczęściej tę wyprawę z okna mego mieszkania. Przywykła do nich i ludność miasteczka oraz do doktorskiej złai, która, pojmując w szerszym nieco zakresie owe *res nullius*, rościła sobie pretensyę do wszystkich artykułów spożycia, które tylko odpowiadały jej gustowi. To też okolice jatek były zazwyczaj główną kwaterą gończaków lekarza. Zachodziły tam wprawdzie nieraz przykre nieporozumienia, rozpalała się i tutaj na chwilę walka o byt nad jakiemiś śmiertelnemi cząstkami bydlęcia, ale wnet wszystko wracało do równowagi, bo psy lekarza, a zarazem najwyższego w miejscu funkcyonaryusza policyi sanitarnej, miały daleko idące przywileje.

W dniu szabasowym, w dniu zwykłych łowów, smutno było w tej dziedzinie — jatki zamknięte, psy na łowach — dopiero wieczorem po powrocie z wycieczki, ożywiało się podwórze bliskiego sąsiedztwa. A była to dla psów jedyna uciecha, gdyż mieszkał tam srogi pogromca nierogacizny. Ten, zwykle w pożyciu domowem rubaszny i nieprzystojny świniobójca, złowrogiem okiem spoglądał na trójkę psów doktorskich, ale wyższe względy dyplomatyczne skłaniały i jego do ustępstw.

— Czeszy ditka z ridka, aby hładki buł — myślał on każdego szabasu i wyrzucał jakiś ochłap na podwórze, życząc psom w swój sposób:

— A bodajbyście się ostatni raz nażarły!

W ten sposób zatem poziome potrzeby psiarni znajdywały zaspokojenie, i gdyby nie to, nie byłoby tam, jak twierdziły złe języki, innego sposobu podtrzymania egzystencyi tej psiej rodziny. Główną zaś przyczyną tego stanu rzeczy miała być druga, nie wiem już czy piękniejsza połowa lekarza, dzierżąca berło rządów domowych, która psów na oczy znieść nie mogła.

Nieźle było tej pani na świecie, ale miała jeden defekt: świerzbiała ją od czasu do czasu, i to od lat najmłodszych prawa powieka, a objaw ten, powtarzający się coraz to częściej z wiekiem, miał być nieomylną przepowiednią jakiejś zgryzoty, a raczej koniecznych jej następstw — płaczu. Ponieważ zaś posiadaczce tego płaczoskopu zależało wiele na nieomylności instrumentu, kwasy i płacze wybuchały z największą punktualnością mniej więcej w 6—8 godzin po złowieszczem swierzbieniu. I wybuchały one tem częściej, im częściej poczciwy małżonek, zniecierpliwiony do żywego bezskutecznem przepisywaniem bobrowego stroju i asafetydy na ową świerzbiączkę powieki, połykał sam w nierównie większych dozach *aquam vitae*, jako niezawodny środek na zatrucie robaka, który po każdem świerzbieniu się pojawiał. I zbyt skromnych wymagań ten człowiek nie sięgał po jakieś zamorskie środki na uspokojenie swej duszy; *Spiritus solani tuberosi crudus*, który płynął w licznych gorzelniach okolicy, zażywany bez recepty w dozach nalewanych na oko, *circa uncias quinque pro dosim*, wystarczał w złej chwili. Nasz doktor składał temu duchowi kartoflanemu przynależne hołdy, nie mięszając go z płynem, tylko dla płaza i ryby

przeznaczonym. Mawiał przytem „*ne misceamur sacra profanis*“, i po wieczornej dosis wpadał w objęcia Morfeusza, gdzie według niego leżała lepsza część życia.

Ale jak to zwykle bywa, nie brakło i z innych powodów cierpkich chwil w życiu tego człowieka. Na hysterycznem tle domowych stosunków pracowało jeszcze mnóstwo innych czynników nad zatruciem życia doktorowi, a przedewszystkiem najbliższy sąsiad, rabin cudotwórca szarpał najsłabszą stronę bohatera, konkurując z nim od czasu do czasu in *arte medica*, gdy już wszelkie inne cudowne środki odmówiły skutku. Nie było prawie tygodnia, któryby nie dawał powodu do takiej cierpkiej kolizyi, cudotwórca bowiem, sąsiadując przez długie lata z jedynym w okolicy lekarzem, już choćby przez samą emanacyę nabrał pewnej rutyny w sztuce lekarskiej, której bardzo zgrabnie w miksturce proroctw używał. Sposób, w jaki to uskuteczniał, i wielkiej wagi dla całego miasteczka osobistość cudotwórcy, ubezwładniały lekarza. Owszem, wstając i legając, musiał błagać Stwórcę o zdrowie i długie dla rabina lata, on to bowiem był głównym magnesem, przyciągającym wiernych z czterech stron świata, którzy częstokroć, posileni proroczem słowem, już dla samej strawności tylu mądrych zdań, potrzebowali i rzetelnej pomocy lekarskiej.

Miał więc nasz doktor z powodu rabina liczniejszą praktykę, ale zawsze mścił się na nim za kurfuszerkę. A objawem owej zemsty było to, że wkradał się od czasu do czasu w rzemiosło rabina, i gdy chory po wyżyciu kilkulitrowych flach mikstury umierał, w ostatniej chwili, niby wyrocznia, niby natchniony głos zgromadzenia w Clermont, wyrzekał ostatnie swe słowo: „To Bóg tak chce“. Jakoż uspokajał tem wszystko, podobnie jak rabin cudotwórczy, który lał tę samą pociechę słowami: „*Gott will a soj*“.

Cierpką była chwila dla doktora, gdy, wybrawszy się na zwykłe sobotnie łowy, po pierwszem podłożeniu w niezawodnym komeszu zajęczym, psy wcale żadnej do łowów nie okazywały ochoty, a zachęcane całym rejestrem brzmień, jakie tylko nasza łowiecka gwara posiada, opadały wreszcie z ogromnym hałasem jakieś spokojnie w lesie pasące się bydlę, i po takim kompromitującym ataku, spuściwszy ogony, tonęły gdzieś w lesie, nie pokazując się już dnia tego oczom swego pana. Wytrąbiwszy wówczas na rogu, wiszącym u lewego boku, całą swą tęsknotę i rozpacz i wyrzuciwszy cały słownik srogich przekleństw na Herszka rzeźnika, że w piątek zanadto psy okarmił, porywał doktor znów za drugi instrument, wiszący po prawej stronie, i znowu trąbił, zalewając gryzącego robaka. I tak potrąbiając, powracał cichutko na swej bryczce do domu, i nie pokazywał się już tego dnia nikomu.

Ale porzućmy złośliwą famę, wyzyskującą w lichwiarski sposób każdą nieszczęsną chwilę w życiu człowieka, dostrzegającą źdźbło w oku brata, a nie zwracającą uwagi na belki w oczach powag tego świata, i zaglądnijmy w jedną z rzadkich chwil różowych naszego bohatera.

Nie różanem światłem znaczył się wschód listopadowego szabasu. Od świtu szaro było na świecie, wszystko się kryło w tumanach mgły zimnej, wreszcie padał niby to deszcz, na ziemi marzło i kandyzowały się gęsto pokłady błota na drodze, sztywniały gałęzie i zeschłe liście pod pokrywą lodu. Była pora, jeżeli już nie do spleenu, to przynajmniej do snu zimowego usposabiająca. Mnie nie trapiła bynajmniej ta zmora mieszkańców mglistych wysp Albionu, nie myślałem też iść za przykładem mysiów, borsuków, bobaków i t. p. — owszem, w różowym humorze wracałem po nieprzespanej nocy z bliskiego sąsiedztwa, gdzie uczciliśmy jak należy św. Saturnina.

Jechałem po wyboistej dróżce leśnej krok za krokiem, dążąc do domu. Na skręcie dróżyny stała zamarłego już dawno fasonu bryczka, spełzły dywanik zwieszał się z tyłu, koniska nieparzyste, jeden wielki biały, drugi mały kary, przegryzały obrok z worka, uczepionego na końcu dyszla, furman, okutany w jakąś starą bundę, drzemał na przedniem siedzeniu. Zatrzymałem się. Łatwo było domyśleć się po tym wehikule, że doktor niedaleko gdzieś się w lesie znajduje, że szary ten dzień nie przeszkodził mu w szabasowej wycieczce. Przemyśliwałem jeszcze chwilę, w którą mógł się udać stronę, gdy głośne „A kota sa, a kota sa sa, hu ha“ i t. p. odezwało się po prawej stronie drogi.

Nie mogłem już dalej na wózku usiedzieć. Las ten nie leżał w granicach mojej jurysdykcyi, czegoż więc puściłem się za głosem? Alboż ja wiem? I przedzierałem się wśród gąszczy, chociaż miałem na nogach delikatne sztyfleciki.

Uszedłszy kilkaset kroków krętą ścieżyną, stanąłem uderzony oryginalnym widokiem. Na niewielkiem rozszerzeniu ścieżki stał brunatnego koloru stożek nieruchomy. Stożek ten tworzyła gruba, namoknięta i ogromnym kapiszonem opatrzona bunda. Pod tą bundą tkwił doktor, zwrócony twarzą odemnie, ze strzelbą pod pachą. Wyczekiwał, rychło gończaki na trop wpadną.

Nie miałem ani prawa, ani ochoty w cudzym lesie rozpoczynać awantury, to też przypatrzywszy się chwilę stożkowi, przywitałem go:

— Dzień dobry, panie konsyliarzu, a skąd to pan się tu wziąłeś?

Stożek raptem się zwrócił i milczał, jakby mnie nie poznał, wreszcie całkiem cicho, prawie szeptem się odezwał:

— Servus dobrodzieju! A dobrodziej skąd? Bo ja już od 40-tu lat to samo robię w sobotę, ale coś dzisiaj fatalne pole, tu jeszcze najlepsze w takiej porze stanowisko, wszystek zając ściąga się na ten pagórek, czego nie bywało.

Wtem psy się w oddali odezwały. Stożek flegmatycznym ruchem podążył dalej ścieżką za psim głosem, a ja powędrowałem do wózka.

Za chwilę byłem już w leśnej karczemce, zwykłej stacyi powrotnej lekarza, i oczekiwałem z niecierpliwością końca łowów. W pierwszej szynkowej izbie gęsta atmosfera; było tam już dosyć ludzi po wszystkich kątach, a przybywali jeszcze ciągle nowi z pobliskiego zrębu, gdzie był wydatek „zbieraniny“. Co chwila otwierały się drzwi i wsuwały się rozmaite postacie w sierakach lub kożuchach, a każda po wejściu systematycznie ocierała już w izbie nogi z błota, poczem następywały gruntowne obustronne porządki z nosem, wreszcie sięgała ręka za pazuchę i pokazywał się na świat ogromnych rozmiarów knysz pszeniczny, przeznaczony na posiłek popasowy. Cała rodzina gospodarza mieściła się dziś w alkierzu. Głowa domu kończyła pod oknem przepisane pacierze, rzucając okiem od czasu do czasu w stronę szynkfasu, gdzie wynajęta na ten dzień „goja“ dość ożywiony prowadziła handel. Reszta rodziny wyczekiwała z niecierpliwością chwili, rychło się otworzy wielki otwór pieca piekarskiego, w którym jeszcze od wczoraj stały w cieple przysmaki szabasowego obiadu.

Skończył wreszcie gospodarz rytuał i w czarnym, zieleniejącym już jednak hałacie stanął we drzwiach, odzywając się do jednego z konsumentów knysza:

— Iwane! A ne wydko tam de doktora?

Iwan, trzymając w jednym ręku resztki knysza, a w drugim dwucentową cząstkę śledzia, i nie mogąc swobodnie

użyć aparatu mowy, bełkotał niezrozumiale odpowiedź, nie zwracając się wcale w stronę pytającego. Wyrozumiałem tylko tyle, że „złupyw zajacia“, a po ustaniu bełkotu arendarz mnie zapewniał:

— *Er hat schoin den Husen gekoilet und kimmt tajkef.* Hej, panowie gospodary! — dodał, zwracając się już do chłopów — ano zrobyt trochu mijsca, bo pany pryjidut. — *A goj giebt weinig zi leisen und mächt sitzen den ganzen Tag in der kerczme*“ — kończył wreszcie zwrócony do mnie.

Naród począł się ruszać, gdy wszedł nasz bohater do izby. Szynkarka, nakrywszy koniec stołu ręcznikiem, postawiła szklaneczkę *circa uncias quinque*, jasnego jak kryształ płynu. Wszedł, nie uwalniając się od stożkowatego okrycia, i jak był, tak zasiadł na ławie, chwilę sapał, wycierał parą zaszłe okulary, nakładał fajkę, krząkał, spluwał, przyłożył do ust szklaneczkę, skosztował trochę, wreszcie zapaliwszy fajkę, puścił kilka silnych dymów.

— Trzeba się napić na trupa, dobrodzieju — mówił, biorąc znów szklankę — aż mi w gardle wyschło od tej trąby.

Pociągał znów powoli, rozkoszując się widocznie przedziwnym smakiem płynu, jak gdyby chciał przydłużyć skąpe a dobre chwile życia.

— Trzeba, póki czas, serce rozweselić, dobrodzieju! Coś mi mówi złe przeczucie, że niedługo już tego będzie. Ot, waryują ludzie, czego nie bywało, gończaki powywieszali, taj Iwanami jak bydło na rzeź spędzają zwierza, czego nie bywało! Kto to słyszał, takie inowacye: żłoby po lasach, jak dla krów w oborze, rogatki po dróżynach, tablice, a hi! czego nie bywało! — I splunął ze wstrętem. — Człek nawet po własnej ziemi swobodnie przejechać nie może.

Domyślałem się, do kogo stary pije. W samej rzeczy, w najbliższem sąsiedztwie objął niedawno wielkie dobra człowiek młody, z racyonalnym na łowiectwo poglądem, zaprowadzając na wielką skalę reformy dotychczasowego szlendryanu.

— Dobrodzieju, ja już teraz pocierpam o psy moje, gdy pójdą w głąb lasu. A brałoby go tam licho z jego tablicami, rogatkami, żłobami. Świat wielki, lasów, Bogu dzięki, dosyć dokoła, ale cóż? — Tu już przyciszył głos, jakby wielki wygłaszał sekret. — Kiedy tam *wiśta* za starą budą sto kroków w las, to dobrodzieju pewny przesmyk; o każdej porze, jak na tuza rachować można na zajączka.

I biadał jeszcze stary dalej nad zepsuciem świata. Lęgły się w nim czarne przeczucia, że niebawem raz na zawsze skończy się jego łowiecka rapsodya. I w istocie jeden z okolicznych leśniczych knuł już tajny spisek na życie Szumlasa, Lutni i Śpiewaka i w tym celu, chcąc wybić klin klinem, wszedł w porozumienie z pewnym wielkim amatorem łowów z gończakami, który, będąc kiedyś bardzo małym i podrzędnej rangi cerberkiem dochodów skarbowych i przyzwyczaiwszy się nosić zielony kołnierz, miał jakiś nieprzeparty pociąg do zielonego bractwa i do wszystkich z tem życiem połączonych przyjemności; zwłaszcza, gdy nadzorcze władze, widząc, że cerberek jedną tylko paszczą szczeka, a dwoma połyka, skazały go na niedobrze zasłużony stan spoczynku. Oj spoczywał on, spoczywał, aż biednej zwierzynie w piętach zastygało! A był to w łowiectwie encyklopedysta w najszerszem tego słowa znaczeniu. Granice jego znawstwa zwierzyny sięgały bardzo daleko; nawet białe, zwyrodniałe zwykle mieszkańce chlewów, jeżeli tylko przydybane zostały w jakiej ustronnej okolicy, stanowiły wielce cenny przedmiot jego łowów.

Otóż cerberek ów pozostawał w bezustannych zatargach z niektóremi paragrafami kodeksu karnego i w bezustannej sprzeczności z ustawą łowiecką, ale jak cygan wśród deszczu przeszedł sucho, bo chodził pomiędzy deszczem, tak i on przechodził jakoś bez szkody przez lasy szarpniętych paragrafów.

Za małą cenę, podobnoś za dwie fury opału, podjął się ów Judasz, jak powiadano, wyprawić ulubioną trójkę lekarza do psiego raju. Ale ja temu nie wierzę, prędzej odegrała tu rolę dawno karmiona zawiść jako motyw główny, zawiść, urosła na zwłokach zajęczych, które ongi lekarz na jednem z szabasowych polowań miał sobie przywłaszczyć, nie chcąc przypuścić pudła swej ferlachówki.

Po opisanej sieście w leśnej karczemce widywałem doktora nieraz z daleka, gdy ciągnął gościńcem po zwykłego szaraka. Trwały te wyprawy przez wszystkie miesiące roku aż do schyłku sierpnia, w którym właśnie przypadał 40-letni jubileusz łowieckiego jego żywota.

Już w wigilję dnia tego — a był to naturalnie piątek — rozmaite złowieszcze wróżby zaczęły się pokazywać. Jakiś pielgrzym z dalekich krajów, zaniemógłszy w drodze, ugrzązł w niedalekiej mieścinie i wśród dotkliwych cierpień telegraficznie rabina o pomoc błagał. Ten, zamiast powierzyć swemu sąsiadowi opiekę nad pielgrzymem, pierwszy raz wystąpił otwarcie w charakterze lekarza i wysłał ze swego trójnoga proroczego następującą do chorego depeszę: „*Ins Bud gaien, weisses Hemd umthin, Titin abkochen und trinken, Racenöhl nehmen ind beiten — Gott wird helfen* (do łaźni pójść czystą koszulą wdziać, tytoniu odgotować i pić, rycynusowego olejku zażyć, modlić się — Bóg dopomoże.)

Depesza ta w najstraszniejszy sposób zraniła duszę naszego doktora. Musiał wziąć podwójną dosis do poduszki, aby się uspokoić. Zasnął, lecz niemiły sen go trapił. Całe falangi szaraków w postaciach apoteozowanych wykrzywiały mu się; były to fantomy ofiar 40-letniej praktyki łowieckiej, ojcowie rodzin, uśmierceni wśród najpiękniejszych chwil pożycia domowego, brzemienne albo karmiące matki rodów, nieudolna młodzież, a dalej szeregi tablic, rogatek, w rozmaitych kierunkach niemiłe napisy i t. p. Chciał się pozbyć wstrętnego widoku, chciał bodaj nastraszyć widmo, chciał wypalić z ferlachówki — ale nie mógł. Kurek nie chciał spadać, a w oddali słychać było strzały, klątwy i jęki psiego konania. Przebudził się wreszcie cały w potach. Już dniało. Przebudziła się wcześnie i pani doktorowa, bo ją świerzbiała lewa powieka, świerzbiała nie do wytrzymania. Dlaczego dziś właśnie lewa? Czyżby, loicznie myśląc, była to zapowiedź mającej za 6 — 8 godzin nastąpić radości?

Ale nie uprzedzajmy faktów, niczem nie wzruszony bohater niech kroczy dalej do kresów przeznaczenia.

* * *

Przecudowny, jasny dzień roztaczał się na niebie — sine opary z nocy pierzchały szybko przed słońcem, tylko na drodze, gdzie było teraz ludno i gwarno, zwożono bowiem forsownie resztki darów nieba, w miarę podnoszenia się słońca coraz wyżej kłębiły się tumany kurzawy.

Na tej drodze, ku stronie zachodniej, toczyły się dwie bryczki, jedna z przodu ze spełzłym dywanikiem, druga za nią bez tego dodatku; resztę krył tuman kurzu. Wreszcie oba te wehikuły zbliżyły się do t. z. drogoskazu *vulgo* „bałamuta“. Na bardzo grubym słupie, ku wszystkim stronom świata, w pozie więcej błagalnej niż wskazującej, sterczały tam ręce, sklutem ciesielskim w sposób wysoce realistyczny

wyrzeźbione, a błagały w kierunku Bóg wie jakich szlaków, bo drogi właściwie dawno już dalej nie było.

Mimo, że bryczka z dywanikiem, jadąca poprzód mnie — gdyż ja to w własnej osobie skazałem się samowolnie na inhalacyę kurzu gościńcowego — mogła była zdążyć razem ze mną do swego miejsca przeznaczenia, t. j. do żdała już widocznego czarnego pasma lasu, — właściciel jej pociągnął innym szlakiem i rozłączyliśmy się. Odtąd dwa tumany prochu przebiegały boki bardzo ostrego kąta, którego szczytem był przydrożny bałamut.

Piękny ten dzień przeznaczyłem do podziału i zwózki na współkę z włościanami robionej otawy na łąkach leśnych, tuż przy granicy zdradzieckiego leśniczego. Było jeszcze wcześnie. Wspólnicy otawy łapali dopiero konie na pastwisku, z chat unosiły się gęste dymy ognisk obiadowych, dużo jeszcze pozostawało czasu, zanim naród się ściągnie do roboty. Po zaroślach rzeczki, rozlanej wśród łąk leśnych, kryło się dosyć „podłego pierza“, aby buszowaniem zabić trochę czasu, to też ze starym leśniczym i z jego pudlem ułożyliśmy w trójkę znakomicie obmyślany plan kampanii. Leśniczy, pomimo że z powierzchowności wyglądał niby rodzony brat Nemroda, nigdy w życiu krwią niewinną rąk swych nie zmazał, pomimo, że strzelał z zapałem bezustanku i byle do czego. Kilkanaście kominków zbijał do roku, i bawił się przytem znakomicie. Pudel leśniczego, uchodzący w oczach swego pana na wiosnę po gruntownem ostrzyżeniu za legawca wysoce rasowego, teraz pod jesień porósł już dobrze w kudły i podobnie jak jego pan polował z zapałem. Plan naszej kampanii, jak wszystkie pomysły genialne, był nadzwyczaj prosty. Ja miałem postępować prawym brzegiem rzeczki, towarzysz mój lewym, pudel zaś miał środkiem płoszyć zwierzynę. Wlazłem po prawej stronie w jakieś zakazane zarośla, z których świata bożego widać nie było, a towarzysz mój po lewej stronie znalazł się w podobnej sytuacyi. Pudel buszując środkiem miał ogromną satysfakcyę; najprzód używał on tam wszelkich przyjemności, jakie tylko płynny element w różnorodnym zastosowaniu przynieść może, zaplątał się w sieć wodnej pokrzywki, narobił piekielnego hałasu, a uwolniwszy się wreszcie, płoszył i gonił głosem kaczki, kurki i t. p., pochwycił w końcu chruściela i obdarłszy mu ogon, wydał głos tryumfu, na króry obaj zbliżyliśmy się do samych brzegów rzeczki. Pudel z piórami w kufie (gębie) był na najwyższym punkcie swej myśliwskiej ekstazy. Przed chwilą słuchem tylko odróżniałem, co się tam dzieje, teraz mogłem już widzieć, i mogłem strzelać do rozmaitego „pierza“, jakie się tam z wody i z traw zrywało. Mogłem, ale nie strzelałem, bo moja rusznica nie chciała wypalić; trzeba więc było całą satysfakcyę pozostawić towarzyszowi, który, należy mu to przyznać, strzelał jak w gorączce. Sam wyniosłem się na jakąś haławkę nieco suchszą, zakładając tu cały warsztat rusznikarsko-reperacyjny.

Podczas gdy skandal nad rzeczką trwał dalej, podczas gdy grzmiały strzały mego towarzysza, z całym zasobem cierpliwości, na jaką tylko w takiej chwili 20-kilkuletni myśliwy zdobyć się może — zabrałem się gruntownie do dzieła. Przy pomocy ladsztoku z grejcarem, noża, klucza do kominków, szpilki, po wykręceniu ładunków i przepalaniu kabslami, zabijaniu kołkami kominków i powtórnem przepalaniu, po odkręceniu wreszcie kominków, po przekręceniu otworów szpilką, nabiłem wreszcie na nowo. Proch szczęśliwym trafem pokazał się na wierzchu, więc byłem nareszcie gotów, ale niestety! minęły piękne chwile, stary mój towarzysz już bez pudla wyszedł z przybocznej gęstwy, a daleko na drodze długi wąż kurzawy wieścił zbliżanie się podwód po otawę. Stary, okropnie zabłocony, okryty dość bogatym zbiorem nasion rozmaitych bodiaków, lepczycy, szczawiu i łopuchu, poprawiał wąsa i z miną zadowoloną spoglądał na świat. Był w stanie normalnym, wszystko poszło jak zwykle, nic uśmiercił niczego, nastrzelał się do syta, pudel pomknął do domu — polowanie skończone.

— No, i cóż tam pan ubił, panie Krewkiewicz? — zapytałem idąc za zwyczajem utartym, choć pytanie to było zupełnie zbyteczne, gdyż wiedziałem z góry, jaka mnie czeka odpowiedź.

— Ale, proszę pana — odparł stary — jak tu można co zabić n i b y t o! (było to jego przysłowie). Moja pojedynka gałgan, rozrzuca niby to, pies szelma pudel niby to, waryat, kłak ze starej sofy, proch zwietrzały, śrut — ta i śrut niby to pomięszany — kaci by tu co zabili!

Rozmyślając o zwietrzałym prochu, który oprócz tego, według przekonania poczciwego Krewkiewicza, był w znacznej części domowym wyrobem jedynego w całej okolicy niekoncesyonowanego handlarza materyałami wybuchowemi, znanego powszechnie Srula, rozmyślając także i o wielu innych rzeczach, należących według przysłowia mego towarzysza do rzędu „niby to“ — szedłem ku łące pod nasypem kolejowym, a tuż za mną postępował mój towarzysz. Nie było tam wprawdzie wiele kopic otawy, ale za to jak gwiazd na niebie znajdowało się tam chłopów, chłopców, bab, dziewcząt, dzieci, koni i żrebiąt.

Dobry gospodarz, dbający o dobro publiczne a nie mający tylko parę koni, pożyczał na tę wyprawę po otawę jeszcze bodaj jednego konia i bodaj jedno łosze u sąsiada, a wszystko to przegryzało żwawo. Był to dorywczy a czysty jak bursztyn zysk. Spółka spółką, a co znów chudoba zjeść zdoła, to już w rachunek nie wchodzi. Już się dawały tu i ówdzie dostrzegać skutki przekarmienia, niektóre koniska z obrzydzeniem spoglądały na podsuwaną im pilnie otawę, a tak lekkomyślne zaniedbywanie chwili pobudzało znów do niezwykłej pasyi panów gospodarzy.

— Poczkaj, psia krou! ne chocześ isty pańskoi otawy, choleru budesz potomu isty. A bodaj byś ty!...

I zamierały dalsze słowa, a kandyba machała ustawicznie łbem, jakby zgadzając się z przepowiednią swego pana.

Byliśmy już na ukończeniu podziału, ładowano już paszę na wozy — zegar świata zwiastował samo południe, gdy doleciały nas kilkakrotnie powtarzane dobrze znane brzmienia: bzyk! bzyk! Bzykania te pochodziły z wykopu koło toru, z miejsca szuwarami zarośniętego, gdzie nigdy woda nie wysychała. Jakby na komendę ja i mój towarzysz z przeciwnych końców łąki ściągaliśmy ku temu miejscu. Niezbyt gęste były tam zarośla, lecz mimo to nie mogliśmy dojrzeć niczego, zbliżywszy się jak koty aż do brzegów wykopu. Jakaś stara, burego pierza kacza matrona na małej kępce stała tam na jednem wiośle z główką pod skrzydłem. Ta się już niczego od przyszłości nie spodziewa, szaro na niej, szaro przed nią, ot pomyślała zapewne: „Starość nie radość“ i skraca sobie nieradosną egzystencyę w tej pozornie bardzo niewygodnej pozycyi, podczas gdy druga wygodniejsza robi to samo leżąc na brzuchu. Ale młodzież nie śpi, chociaż daleko jeszcze do karnawału kaczego. Młodzież piękniejsza skrzętnie załatwia w rozmaitych pozach niedostatki toalety. To kaczusia fryzuje się miękkiem wiosełkiem, a może pędzi jakiego dokuczliwego pasożyta w miękkim puchu piersi... Każda chce być najpiękniejszą, każda chce się podobać, na chwilę ustaje toaletowa praca, spoglądają na siebie, i przykład jednej uczy drugą. Każda wi-

dzi teraz w pewnych punktach zaniedbanie, więc dalej do roboty, a podczas tego kaczorki między sobą się zabawiają, pływają w około, nurzają głowę, nabierają nieco wody do dzióba i jak puste chłopcy bryzgają na się kroplami wody, a gdy się sztuka uda, wydają ten „bżyk“, zdradzający ustronne siadło.

Taki obrazek, nieraz na jawie widziany, malowała teraz niestety! tylko wyobraźnia. Południowe słońce przypiekało, korciło wleźć do wody i podsunąć się pod kacze siadło. Już był nasz zamiar bliski czynu, gdy jakiś opiekuńczy duch kaczy zwrócił naszą uwagę w innym kierunku.

Za wysokim nasypem kolejowym odezwał się donośny, niby fletowy gwizd, a kto go raz w życiu posłyszał, ten się nie pomyli, z jakiej on pochodzi gardzieli. Gwizd się powtarzał, a był coraz silniejszy i bliższy. Widocznie stadko kuligów wielkich osiadło na łące. Nasyp kolejowy rokował wszelkie nadzieje powodzenia w tych trudnych łowach, gdzie nawet czołganiem nie dochodzi się do wyniku, i gdzie często trzeba się pocieszyć przynajmniej spoglądaniem na zrywające się w niedoścignionej oddali ptactwo.

Krótka i dość pojedyńcza pantomina odegrała się teraz pomiędzy mną i moim towarzyszem. Zrozumieliśmy się lepiej, niżby to słowem nastąpić mogło, i z bijącem sercem a odciągniątemi kurkami drapaliśmy się o jakie 30 kroków od siebie po przykrej stoczystości nasypu. Nadeszła wreszcie chwila, gdzie trzeba było koniecznie pokazać głowy i to równocześnie, chcąc wyzyskać jak najlepiej korzystną a rzadką sposobność. Ze strzelbą przy oku sterczały więc nasze głowy nad nasypem, szybko jak błyskawica przelatywał wzrok po wielkiem paśmie łąki, i niemal równocześnie padły 3 strzały do spacerujących i zrywających się kuligów, o jakie 60 kroków od nasypu. Dostaliśmy 5 sztuk, a reszta, 7—8 sztuk, uniosła się w rozmaite świata strony.

Nie wiem, o ile do tej zdobyczy przyczynił się „zwietrzały“ proch mego towarzysza, dość, że dumny byłem, zasilając u torby niezwykłą zdobycz. A była to ostatnia chwila, bo jeszcze nie ochłonęliśmy z gonitwy za zbarczonemi ptakami, gdy gęsty biały dym od strony wschodniej zwiastował zbliżanie się pociągu.

W niedalekim lesie sąsiedzkim, gdzieś tam w okolicy „za starą budą, wiśta sto kroków w las“, grzmiała równocześnie żywa strzelanina. Z hukiem łączył się skowyt psów — słychać było rzewne jęki, znów padały strzały, i wreszcie żałośne tony rogu rozlegały się w dal. Na trupa trąbiono. Zacinały się szybko po sobie tony rogu, ale nie był to głos fanfary tryumfalnej, lecz rozdzierający powietrze ton rozpaczy, ton o zemstę do nieba wołający.

Przeleciał sapiący pociąg, kryjąc się w dymie, konało zwolna dudnienie na szynach, umilkła wrzawa w pobliskim lesie, i na tym, przed chwilą bojowym tonem rozbrzmiewającym pasku ziemi, nastała cisza. Tylko z pomiędzy kopic otawy dolatywały echa turkotu wozów, rżenia koni i dźwięki ludzkiej gwary.

Stałem przy dróżce, niedaleko rampy z mym miłym balastem, a od strony lasu zbliżała się żałobnym truchtem bryczka doktora. Stał on na bryczce, w lewej ręce trzymał swą ferlachówkę, a prawa groźnie kierowała się w stronę lasu, gdy się zbliżał ku mnie. W tej chwili nie miał okularów: iskry piorunów ciskały krwią nabiegłe oczy, niby kameleon mienił się nos barwami. Na całem siedzeniu leżał rozpostarty, z krwawej walki uratowany wprawdzie, ale ledwo dyszący, krwią zbryzgany czarnopodżary Szumlas.

Nie zatrzymał się doktor wcale na mój widok, z wyrazem pogardy przeleciały krwią nabiegłe oczy po mojem „podłem pierzu“. Wskazał na leżącego psa, i głosem strasznym wyrzucił w przejeździe:

— Na taką to zwierzynę polują te łajdaki! Postrzelał mi wszystkie psy ten hycel, ten... skrobifajka, czego nie bywało. Poczekaj pański ty najmycie! — grzmiał ochrypłym głosem, zwracając się w stronę lasu. — Sprawiłeś mi jubileusz, ale i ja ci stołka przystawię...

Tu już minął mnie, a z oddali jeszcze dolatywały mnie jego skargi i groźby:

— Żeby bestya choć sukę uszanował... Całe gniazdo teraz dyabli wzięli, czego nie bywało!

Były to ostatnie słowa, które z ust tego człowieka słyszałem. Jak groźny demon zemsty przesunął się przed mym wzrokiem po raz ostatni.

* * *

Po drogiej stracie nie mógł już doktor sprawić sobie choćby jednej przelotnej dobrej chwili. Osowiał, przemyślając nad zemstą, do której z natury wiele zdolności nie posiadał, i nie wiem, czy to wsłuchując się w jednostajne dźwięki swego najbliższego otoczenia, czy też wpatrując się uporczywie w koniec własnego nosa, czy też w świecące, żółte kabzle swej bryczki, stojącej przed oknem na podwórzu, czy też wreszcie w błyszczące dno swej szklaneczki, co wszystko razem, wedle zdania indyjskich fakirów, zdolnem jest połączyć się z Nirwaną — dość, że po kilkumiesięcznych próbach zahypnotyzował się tak gruntownie, że ani dmuchnięcie w twarz, ani w rozmaity sposób stosowane pocierania obudzić go nie mogły.

Skryła go mogiła i zostały tylko wspomnienia, które tu składam wiernie w archiwach łowiectwa.

DAWNIEJ A DZIŚ.

I.

Z cichej puszczy w dzień jesienny
Rogów słychać głosy,
Przez konary drzew w niebiosy
Biją hen do szarych chmur,
Aż się zbudził zwykle senny
Groźny tur!

Hen w ostępie, gdzie buczyna
Gęsta, nieprzebita —
Dzik — odyniec — sybaryta
Ulubiony barłóg ma....
Spi — lecz drażnić go zaczyna
Granie psa.

Podniósł się więc do połowy,
 Gwizd wyciągnął w górę,
Małe oczki mu ponure
 Wyszły złością, że ktoś śmie
Przez potoki i parowy
 Zbliżać się.

Lecz pies bliższy-z każdą chwilką,
 Świeże tropy wieści,
A po za nim liść szeleści,
 Ba i ludzki słychać głos;
Więc odyniec fuknął tylko
 Na zły los.

Hej! już z tyłu za nim blisko
 Wyłania się zdrada;
Z gąszczu niby grot wypada,
 Całym pędem krótkich nóg
Jedno małe, bure psisko —
 Śmieszny wróg!

Władca kniei błysnął kłami,
 Zwrócił cielsko całe,
I na psisko patrzał małe,
 Jak szczekało groźnie tak!
Niechaj szczeka godzinami
 Głupi psiak!

Lecz, niestety, z gąszczu hasło
 Zagrzmiało złowieszcze,
Aż odyńca przeszły dreszcze:
 „Huzia, huzia, huzia go!“
I wnet dziesięć psów zawrzasło,
 Szczeć mu drą!

Chwila. Z gąszczu ktoś wychodzi....
 Nowi napastnicy!
Każdy oszczep ma w prawicy,
 Stają. Psiarnia tłoczy się,
Dzik krwawemi wodzi oczy,
 Nagle tnie!

I wnętrzności z psa wypuszcza,
 Już ma wolną drogę!
Władca kniei daje nogę,
 Ale każdy jego krok
Psów niedobrych strzeże tłuszcza,
 Pędząc w skok.

Aż odyniec zwolnił w pędzie,
 Chce użyć wściekłości,
Natarczywych zawiódł gości
 W czysty i wysoki bór,
I na tył pod bukiem siędzie
 Książę gór.

Psiarnia z boków mu dojada,
 Krwią mu zaszły oczy,
Białą pianę z ryja toczy
 I nastawia groźne kły;
Wtem myśliwy konno wpada
 Huzia psy!

Parę cięć odyniec daje,
 Już dwa psy skowyczą,
Ale inne zęby ćwiczą
 Na odyńca skórze. Wnet,
Wnet mu zedrą te hultaje
 Cały grzbiet!

Jeszcze jeden pies nieżywy,
 Okrwawiony leży,
Łowiec z konia zsiadł i bieży,
 Oszczep tylko w dłoni ma;
Tu dopiero wróg prawdziwy
 Żywot da!

Nie da, bo już raźnym ruchem
 Oszczep wbił głęboko,
Ściekła łowca dłoń posoką,
 Odyńcowi brakło tchu,
Psy go szarpią, ponad uchem
 Warcząc mu!

Więc się wstrząsnął zwierz raniony,
 Psy padły daleko,
Do myśliwca się z paszczeką
 Puścił, lecz mu brakło sił,
Padł i kłami na wsze strony
 Ziemię rył.

A myśliwy dumnie głowę
 Wzniósł, że wyszedł cało,
By się z borem dzielić chwałą
 Zadął w swój donośny róg;
W myśli łowy snuł już nowe
 Zwierza wróg.

Tak bywało!... Ach, te czasy
 Wspomnieć chociaż miło,
Gdy myśliwy, walcząc siłą,
 U stóp swoich zwierza kładł....
. . . .
Inne wówczas były lasy,
 Inny świat.

II

W dzień zimowy, na ponówce
 W kniei polowanie,
Za sankami suną sanie
 I nagonki ciągnie sznur,
Słonko rzuca na te hufce
 Uśmiech z chmur.

Przyjechali, każdy z panów
 Trzylufkę dobywa...
O, zwierzyno nieszczęśliwa,
 Smutno zbudzisz się ze snów!
Toć do walki na tytanów
 Dosyć luf!

Nóż ma każdy, (moda taka
 Nowi to narzędzie,)
Lecz go pewnie nie dobędzie,
 Kordelasem choć go zwie;
Ej, zuch chyba na warchlaki
 Porwie się!

Dziesięć strzelb a luf trzydzieści,
 W każdej ekspres sztuczny,
Nawet niedźwiedź, pan buńczuczny,

Zadrżałby na widok sam,
Tyle w sobie grozy mieści
Cały kram.

Już gotowi. Wnet leśniczy
Panu raport składa:
Dzików są dwa duże stada
I odyniec, stary dziad,
Co z pewnością najmniej liczy
Z dziesięć lat!

Stają strzelcy gorączkowo
Wśród ciszy ponurej,
Ale każdy pragnie z góry
Obok siebie mieć choć krzak!...
Bo kłem dostać — to niezdrowo
Bardzo tak!

Idzie hufiec gończów miotem:
„Dziki! dziki!“ — woła.
Widać śmierci już anioła,
Strach pomyśleć, tyle luf...
...Czoło perli mi się potem...
...Brak mi słów!

* *
*

Nie dublety, lecz tryplety
Robi dziś myśliwy,
I ród dzików nieszczęśliwy
Zmniejsza każdy, każdy dzień.
Wnet ten piękny zwierz, niestety,
Zginie w pień!!

L. G. Dziubiński.

KORESPONDENCYE.

Lachowice w maju 1894.

(Przygoda z lisem.)

Na jakie sztuczki biorą się lisy, by uzyskać smaczny kąsek w postaci kurki lub kaczki, niech posłuży następująca przygoda.

Przed kilku dniami, wróciwszy zmęczony do domu, usnąłem snem kamiennym, gdy nagle wpada do pokoju wystraszony chłopak i woła budząc mnie, że jakiś straszny zwierz zajada psa na dziedzińcu. Tysiąc myśli przeleciało mi przez głowę — ubieram się gorączkowo — a słysząc piekielne ujadanie kundlów, bardzo złych i silnych, oraz kilku jamników, chwytam zawsze nabitą strzelbę i wypadam w chwili, gdy kilkunastu parobków z gumiennym na czele, uzbrojeni w żelazne widły, biegną za zgrają psów, która owe „straszne zwierzę“ pogoniła ku odległej o kilkanaście kroków uboczy, porosłej staremi lipami. Naturalnie gonię wraz z nimi, mimo jeszcze ciemnej nocy, bo była trzecia rano — gdy jeden z chłopaków krzyknął:

— Ot sedyt na hałuzi na łypi!

Podszedłem tedy na kilka kroków — i rzeczywiście spostrzegłem coś żółtego przyczajonego na odstającym konaze lipy. Psy rozjadłe podskakiwały w górę na okół. Nie namyślając się strzeliłem — zwierz padł ugodzony śmiertelnie — a gdyśmy go psom odebrali, okazało się, że był to ogromny stary nasz mykita.

Po przeprowadzeniu rozprawy i zdjęciu protokołu nad nieboszczykiem, wykryło się, że łakomy mykita polował na kurę gumiennego — gdy go psy wyłażącego z kurą z małego chlewka na czystem opadły i tak nacisnęły, że lisiura, salwując żywot, wpadł pod szopę z narzędziami, skąd, gdy go parobcy z latarniami szukali, dziurą na dziedziniec wyskoczył. Tu kundysy i jamniki wparły go na lipę, a ja pozbawiłem go rozbójniczego żywota.

Tadeusz Romanowski.

Skała w maju 1894.

(Szczególna miłość.)

Rozpowiadają nie mało romansopisarze o czynach, na jakie miłość zdobyć się może, a zaręczam, że i każdy z łaskawych czytelników zapłacił już, lub jeszcze płaci długi tej nigdy nienasyconej i wiecznie łaknącej wierzycielce. Nawet słynni bandyci i prości opryszkowie oprzeć się nie umieli sentymentalnej miłości ku swym ofiarom, jak o tem świadczą historye Genowefy, Fra-Diavola lub Rynaldyniego.

Rzadszym i trudniejszym do uwierzenia bywa wszakże każdy wypadek sentymentalnej miłości między oprawcą a ofiarą w świecie zwierzęcym. A przecież znam i taki wypadek niezwykłego przywiązania pomiędzy dwojgiem różnorodnych stworzeń do tego stopnia, iż jedno bez drugiego obejść się nie może i w razie oddalenia jedno za drugiem tęskni. O wypadku tym pragnę donieść, nie dodając ani słówka łaciny myśliwskiej do mego sprawozdania.

W domu państwa O. w Mielnicy znajduje się kot, nie odróżniający się niczem w nawyczkach i drapieżności od innych członków kociego rodu, łowi on myszy i morduje małe ptaszki, które na wolnem powietrzu dopaść potrafi, a nie przepuszcza nawet kanarkom i szczygłom, znajdującym się w klatkach wewnątrz domu jego chlebodawców i pomimo, że już nieraz został za to ukarany, nie może się powstrzymać, aby na widok kanarka lub szczygła, wylatującego z klatki, nie przywarować i nie rzucić się nań w zamiarach morderczych.

W całym domu znajduje się tylko jeden ptak, któremu kot pozwala bezkarnie nietylko latać i chodzić po pokoju, ale nawet dopuszcza go do jedzenia z jednej miseczki, a po nadto przyjmuje z widocznem zadowoleniem ptasie jego pieszczoty. Ptakiem tym jest synogarlica, która objawia niezwykłe do kota przywiązanie, głaszcze go skrzydełkiem, całuje dzióbkiem i stara się przypodobać mu różnemi sposobami.

Oto na co patrzałem własnemi oczyma: Skoro kot ułoży się do snu, a synogarlica przez dłuższy czas go nie

widzi, to najprzód zaczyna śmiać się prawie nieustannie i nawoływać „cukru!“ Gdy to skutku nie odnosi i kot się nie pokazuje, natenczas zaczyna chodzić i latać po pokoju, widocznie szukając, dopóty, dopóki kota nie znajdzie. Znalazłszy swego ulubieńca siada obok niego i budzi słodkiem słówkiem „cukru“, a jeśli kot mimo to nie przerywa drzemki, natenczas zaczyna go głaskać skrzydełkiem, dzióbiąc delikatnie w nos i głowę i targając dzióbkiem za ucho. Gdy i te przymilania leniwca nie rozbudzą i spowodują tylko tyle, że kot od niechcenia synogarlicę łapką na bok odsuwa, wtedy, zaśmiawszy się żałośnie „hi! hi! hi! hi!“ porzuca go synogarlica, leci do stołu, zabiera po jednemu bilety wizytowe i przykrywa niemi śpiącego kota prawie zupełnie; następnie siada obok niego i śmiejąc się dalej woła prawie wciąż „cukru!“ Wreszcie zniecierpliwiona nieczułością kota, uderza go ze złością dzióbkiem w głowę, albo w nos tak silnie, że kot rad nie rad zrywa się i spać przestaje. Ten sposób budzenia wyprowadza wszakże kota z cierpliwości, chce tedy synogarlicę pochwycić. Wówczas ona, jakgdyby z umysłu, aby kota ukarać za jego ospałość, ulatuje niejaki czas przed nim po pokoju i zmusza go do pociesznych skoków w górę, aby ją ułowić. Nakoniec nadrażniwszy kota do tego stopnia, że zaczyna miauczeć, siada obok niego i rozpoczyna miłośne pieszczoty.

Uradowany kot przewraca się na grzbiet, chwyta przedniemi łapkami synogarlicę w pół, przyciska do siebie i wyprawia pyskiem pocieszne karesy to z jednej, to z drugiej strony głowy synogarlicy, z których najpocieszniej wygląda ten, gdy kot otworzywszy pysk, chłonie całą główkę synogarlicy, a ona zawoła mu w paszczy „cukru!“

Skoro się usunie synogarlicę z pokoju, albo ona sama usiądzie gdzie na piecu lub szafie i kot widzieć jej nie może, to widać po nim, że tęskni za nią, porzuca nawet jedzenie, biega po wszystkich pokojach i miauczy przeraźliwie dopóty, dopóki mu się synogarlica nie ukaże.

Oto cały romans między rozbójnikiem i jego ofiarą. I niechże kto wytłumaczy na fizyologicznych zasadach objawy tej platonicznej miłości!

Seweryn Kisielewski.

Warszawa w maju.

(Z Towarzystwa racyonalnego polowania.)

W dniu 12. kwietnia odbyło się ogólne zebranie członków warszawskiego oddziału Tow. rac. polowania pod przewodnictwem wice-prezesa gen. Sidorowa.

Załatwiono przedewszystkiem budżet. Obejmuje on następujące pozycye dochodowe: wpływ ze składek 500 członków, płacących swoje wkładki regularnie, 6.000 rs.; wpisowe od 100 nowych kandydatów na członków 1.000 rs.; półroczne wkładki od tychże 600 rs.; ze sprzedaży dżetonów, znaczków, tablic do miejsc ochronnych, blach dla stróżów leśnych i t. p. 200 rs.; z bilardów 60 rs.; od wprowadzanych gości 120 rs.; z kart i kar za grę po oznaczonych w regulaminie godzinach 4.770 rs.; zwrot przez właściciela domu $1/3$ wydatku na opał 150 rs.; ze sprzedaży zużytych ruchomości 100 rs. — razem 13.000 rs. W wydatkach pomieszczono: na najem lokalu 1.800 rs.; na światło 1.000 rs.; opał 450 rs.; pensye urzędników i służby 2.650 rs.; na zadzierżawienie gruntów pod miejsca ochronne i wynagrodzenia dla odnośnych stróżów 1.800 rs.; na nagrody dla stróżów i straży ziemskiej, gorliwie działających w celach Towarzystwa, 1.500 rs.; na różne wydatki, druki Towarzystwa, ogłoszenia, materyały piśmienne i t. p. 2.300. — razem 13.000 rs. Budżet ten zatwierdzono bez zmiany.

Drugą ważną kwestyą porządku dziennego było zatwierdzenie instrukcyi dla Wydziału ochrony i polowań. Kwestya ta ma już swoją historyę. Niektórzy członkowie radziby zbyt szeroko interpretować odnośne artykuły ustawy i chcieliby podnieść znaczenie tego wydziału niemal do poziomu samodzielnej instytucyi, jako stojącej obok Towarzystwa, na co znów rada Towarzystwa zgodzić się nie chciała, czy niemogła. Dość, że na poprzedniem zebraniu ogólnem postanowiono opracować szczegółową instrukcyę, dotyczącą działalności tego wydziału, co raz na zawsze usunąć ma nieporozumienia w przedmiocie interpretacyi odnośnych artykułów ustawy.

Wyznaczona w tym celu komisya przygotowała ową instrukcyę, nad którą obradowano. Zebranie przedyskusowawszy odczytany projekt, z małemi zmianami zatwierdziło go znaczną większością głosów.

Instrukcya ta, obok wewnętrznych postanowień, normujących stosunek wydziału do rady Towarzystwa, określa w następujący sposób zakres działania Wydziału.

Do atrybucyi i obowiązków Wydziału należą:

1. Wyszukiwanie do zadzierżawienia przez Towarzystwo miejscowości najodpowiedniejszych dla wzięcia takowych pod ochronę; wyłączna nad temi miejscami kontrola i urządzanie w tych miejscach prawidłowego myśliwstwa.

2. Urządzanie i kontrolowanie miejsc ochronnych na gruntach członków Towarzystwa, przyczem stosowaną ma być zasada, że:

a) miejsce ochronne może być urządzone na przestrzeni niemniejszej jak 5 włók;

b) na przestrzeni od 5 do 15 włók może być ustanowiony jeden stróż; po nad włók 15 i na każde następne 15 włók winno być ustanowione po jednym stróżu. Wymieniona liczba stróżów, uważana jako normalna, może być zmieniona w wyjątkowych razach, po wyjaśnieniu koniecznych przyczyn tej zmiany i po porozumieniu się Wydziału z Radą.

3. Staranie się o to, aby Towarzystwo posiadało w każdym powiecie członka-korespondenta z pośród właścicieli ziemskich, w tymże powiecie zamieszkałych.

4. Jak najszersze rozprzestrzenianie nowych pojęć o prawidłowem myśliwstwie i najnowszych wynalazkach z dziedziny puszkarstwa i sztuki łowieckiej. Idee te krzewić należy albo bezpośrednio w swoim własnym organie, lub też porozumieć się w tym celu z jednem z istniejących czasopism.

5. Rozpisywanie inicyatyw i warunków konkursów na dzieła, modele, wzory i rysunki, we wszystkich kwestyach, myśliwstwa dotyczących.

6. Uzupełnienie biblioteki Oddziału dziełami traktującemi o myśliwstwie.

7. Formowanie statystyki zwierzostanu w guberniach Królestwa Polskiego i map poglądowych myśliwstwa.

8. Wydawanie opinii o osobach występujących do Rady o tytuł dostawcy Towarzystwa.

9. Pośredniczenie w organizowaniu się kółek myśliwskich z pośród członków, pragnących brać dla siebie polowania w dzierżawę.

10. Występowanie do Rady z przedstawieniem o ewentualną zmianę terminów polowania na daną zwierzynę w razach wyjątkowych.

11. Przedsiębranie wszelkich środków, mających na celu kontrolę nad handlem zwierzyną w miastach.

12. Ułatwianie i pośredniczenie w sprowadzaniu dla członków broni, jako też przyrządów myśliwskich z zagranicy; pośredniczenie w kupnie broni, czy to nowej, czy używanej — jako też dopełnienie prób z bronią dla gwarancyi kupujących. Toż samo odnosi się do sprowadzania, prób, kupna i sprzedaży psów myśliwskich czystej krwi.

Do Wydziału ochrony i polowań wybrano na temże posiedzeniu: pp. Al. Jałowieckiego, Jana Sztolcmana, Al. Szwedego, Leona Przanowskiego, hr. Ksawerego Branickiego hr. Al. Thola, St. Dziechcińskiego, Zyg. Sielskiego, Ignacego Rudowskiego, Al. Rembowskiego, Juliana Biesiekierskiego, Wacława Aulejtnera, Wł. Słomczyńskiego i Mikołaja Blumentala.

Dokonano też wyborów do komisyi rewizyjnej, do której powołano: pp. Jana Carossi, Wł. Jakobsohna, St. Grodzkiego, Juliana Szuszkowskiego i hr. Emanuela Siwersa. Ponieważ jednak pp. hr. Siwers i Jakobsohn wyboru przyjąć nie mogli, przeto weszli na ich miejsca pp. Ant. Miernowski i Karol Potworowski.

Powzięto jeszcze uchwałę, że balotowani na członków kandydaci winni otrzymywać $^{3}/_{4}$ głosów, gdy dotąd wystarczała prosta większość — i ustanowiono następujące termina polowania, obowiązujące członków warszawskiego oddziału Towarzystwa: na kuropatwy od 24. sierpnia do pierwszych śniegów i na zające od 13. września do 13. lutego. Przedłużono też termin ostateczny nadsyłania prac na konkurs, ogłoszony przez Towarzystwo, do 13. października b. r.

Wszystkie powyższe uchwały zapadły w obecności 82 zebranych na posiedzeniu rzeczywistych członków Towarzystwa.

Na następnem posiedzeniu Wydziału ochrony i polowań wybrano przewodniczącym p. Leona Przanowskiego, radcę Dyrekcyi Tow. kred. ziemskiego, sekretarzem W. Słomczyńskiego.

J. M.

Petersburg w maju 1894.

(Wystawa myśliwska.)

Po ukończonych wyścigach odbyła się w Maneżu Michałowskim doroczna wystawa myśliwska, która trwała od 9-go do 14-go maja.

Na tych dorocznych wystawach myśliwskich bywają przeważnie psy wystawiane i jest zawsze sposobność nabycia bardzo pięknych okazów psów wszelkich ras.

Z ogólnej liczby około 260 wystawionych psów, około 140 przypadało na samę wyżły, które były świetnie reprezentowane przez wszystkie nawet tak rzadkie oddmiany jak „Retrivery“ i „Spaniele“. Rozklasyfikowanie psów według użytku, ras i odmian pozostawiono, jak w roku zeszłym, bez zmiany. Rozkład tylko i ustawienie klatek zmodyfikowano, wskutek zmniejszenia się ilości tak wystawionych psów, jak i przedmiotów związek z myśliwstwem mających.

Nie podobna mi wyliczać nagrodzonych okazów i wdawać się w opisy ich form, zaznaczę tylko, że dwie najwyższe nagrody, w postaci złotych medali, przysądzono Cesarskiej sforze anglo-rosyjskich beaglów, zwiększonych już w Rosyi przez krzyżowane z gończemi i przedstawiających w ilości 30 psów typ bardzo jednolity, a także seberyjskiej pięknej łajce p. Winogradzkiego „Nord-Ost“.

Po za psami inne działy wystawy, szczególniej ilościowo, nie dopisały. Koni naprzykład wystawiono 19, z tych 5 tylko do polowania par force i 14 stepowych, w których co prawda trudno dopatrzeć się wielkiego związku z myśliwstwem. P. Schott wystawił 10 kirgizkich koników z Orembburskiej guberni, które ze względu na orginalność i jednolitość typu, były dość ciekawe i otrzymały po bronzowym medalu. Z estetyką nie mają one nic wspólnego: wzrostem po prostu kuce, okrutnej budowy i bardzo grubej kości; na krotkiej szyi o bardzo niskim wyroście, mają duży ciężki łeb; grzbiet mocny, zad silnie ścięty, a pod tem wszystkiem cztery kapitalne, grube lecz suche nogi, które to zapewne na owe bronzowe medale zasłużyły. Ruchy dość szybkie i nie bez temperamentu, ale niedźwiedziowate, jakby spętane, jak to się rzecz ma u wszystkich prawie skroczaków.

Konie do polowania par force zostały wszystkie 5 nagrodzone i to jak najbardziej zasłużenie. Cztery z nich wystawił br. Mannerheim.

Frekwencya wystawy była znacznie mniejsza niż lat ubiegłych, co należy tłómaczyć wyjątkowo piękną i wczesną, jak na Petersburg, wiosną, która cały świat sportowy zniewala do odbywania wycieczek i szukania rozrywek po za murami miasta.

M.

KRONIKA.

Wydanie dzisiejszego numeru „Łowca“ opóźniliśmy o dni dziesięć, gdyż pragnęliśmy dać już w nim chociaż pobieżny rzut oka na dział łowiecki na powszechnej Wystawie krajowej. Liczymy na to z góry, że nam szanowni czytelnicy nasi za złe tego nie wezmą i zwłokę w rozesłaniu numeru wybaczą.

Klub jamników i terrierów, o którego zamierzonem zawiązaniu donosiliśmy niedawno temu, przyszedł istotnie do skutku. Zawiązał się mianowicie d. 28. marca w Wiedniu, a oficyalna nazwa jego brzmi: „Der oesterreichisch-ungarischer Erdhund-club“. Prezesem klubu został wybrany p. Józef Frank z Gracu, wiceprezesami bar. Cuno Lazarini (dla foxterierów) i bar. Jerzy Washington (dla jamników). Sekretarzem jest bar. Frydryk Neuenstein z Orth, a kasyerem Paweł Kühne z Gracu.

W dniach 7, 8 i 9 lipca br. zamierza nowy klub urządzić w Gracu międzynarodową wystawę psów i wyznaczyć premie pieniężne za najlepsze okazy.

Próba gołębi. Pierwsze austryackie Towarzystwo hodowli drobiu wysłało d. 9. b. m. 38 tresowanych gołębi pocztowych z Lincu do Prosnitz, celem odbycia prób lotu. Wypuszczono je przed 7mą godziną rano na wolnem polu. Po kilku minutach krążenia oryentacyjnego w pewnej wysokości, puściły się wszystkie gołębie w południowo-zachodnim kierunku i między 12tą a 1szą w południe wróciły do Lincu. Odległość 243 kilometrów przebyły zatem w pięciu do sześciu godzinach.

Sęp płowy. W połowie maja został zastrzelony przez chłopa w Łętowni koło Jordanowa sęp płowy (*Vultur fulvus*). Chłop sprzedał go żydowi, a żyd p. Christowi, restauratorowi w Chabówce, który nadesłał go do preparatora uniwersytetu w Krakowie p. Czajkowskiego do wypchania. Jestto samica zupełnie dojrzała, o pięknym bułkowym kolorze piór na brzuchu i grzbiecie, bardzo ciemno-brunatnych pokrywach skrzydeł i ogonie i prawie czarnych lotkach. Długość wyciągniętego skrzydła mierzy 124·6 ctm., szerokość piersi od skrzydła do skrzydła 23·2 ct., długość od końca dzióba do ogona 111·3 ctm. Sęp ten strzelony był bardzo blisko prawdopodobnie dwa razy, śrutem

Nr. 2. Przy pierwszym strzale jedno ziarno przeszło piersi, nie naruszając serca, na wylot, drugie brzuch przy osadzie nogi; drugi strzał, dany bardzo blisko, prawdopodobnie w celu dobicia ptaka, wszedł bokiem prawie kulą, przeszedł serce i utkwił w przeciwległem mięśniu skrzydła.

Pożarty przez niedźwiedzia. Z Temeszwaru piszą: Czarnogórski poskramiacz niedźwiedzi, Tytus Zsivoney, wędrował od kilku miesięcy na pograniczu Węgier południowych i dawał przedstawienia ze swoim niedźwiedziem tresowanym. W dniu 1. maja hecarz produkował się w rumuńskiej miejscowości Glimboka. Był podchmielony i żelaznym prętem zadawał zwierzęciu okrutne razy. Doprowadzony do wściekłości niedźwiedź poszarpał łańcuchy, któremi miał skrępowane łapy, rzucił się na swego pogromcę, powalił go na ziemię, zdarł skórę z głowy i w mgnieniu oka pożarł ciało z twarzy i górnej części piersi. Niepodobna było odpędzić niedźwiedzia od ofiary. Wezwany żołnierz z pobliskiego posterunku wojskowego wystrzałem z karabinu położył niedźwiedzia trupem.

Stracenie słonia. W Nowym Jorku, słoń, będący od dłuższego czasu w menażeryi Central parku, począł wpadać w szał, stawał się bardzo gwałtownym. i zabił kilku dozorców. Skazano go wtedy na śmierć i struto dwoma uncyami kwasu pruskiego, podanemi w jabłku.

Ustawy łowieckiej. chroniącej zwierzynę od wytępienia, doczekała się już i południowa Afryka. Wydało ją angielskie Towarzystwo południowo-afrykańskie. Pięciomiesięczny czas ochronny przepisany został dla słoni, hipopotamów, bawołów, zeber, kwag, wszelkiego rodzaju antylop, zajęcy, królików, dropi, bażantów, perlic i kuropatw. Kto w czasie ochronnym ubije jaką sztukę z wymienionych tu zwierząt łownych, podlega pieniężnej karze 5 funtów szterl. lub karze miesięcznego aresztu. Ubijać zwierzęta te wolno i w porze ochronnej tylko podróżnikom, którym mięsa z nich potrzeba na wyżywienie siebie i swego taboru.

Jak prędko spaceruje lis poucza następujące zdarzenie. Pewien właściciel ziemski w Saksonii trzymał na łańcuszku niby to ułaskawionego lisa. Lecz stało się z nim to samo, co z tysiącem innych niby to ułaskawionych lisów, tj. że urwał łańcuszek i poszedł w świat z obróżką na szyi, gdzie nazwisko właściciela pięknie było wyryte. Nazajutrz otrzymał właściciel lisa od leśniczego z pod Muskau bilecik następującej treści: „Dziś nad ranem ubiłem myszkującego w rewirze lisa. Znalezioną na szyi jego obrożę zwracam w załączeniu.“ Lis padł o siedm mil od swej budy, do której był przykuty; gdy zaś jeszcze o 11 w nocy widział go stróż nocny na łańcuszku, więc w czterech lub pięciu godzinach odbył spacer siedmiomilowy.

Fortelu łowieckiego, bardzo prostego a zmyślonego, używają Grenlandczycy przy polowaniu na białego niedźwiedzia. Gdy jadąc saneczkami o psim zaprzęgu, który zwykle 10 do 12 psów liczy, natrafią na trop niedźwiedzia, odprzęgają dwa psy i puszczają je wolno. Psy te biegną za tropem, a wskazując drogę saneczkom, podchodzą niedźwiedzia. W miarę zbliżania się do niebezpiecznego drapieżcy, spuszcza Grenlandczyk dalsze psy i pozostawia zaledwo dwa lub trzy w zaprzęgu. To też podjechawszy niedźwiedzia, ma go już psami osaczonego i godzi w niego oszczepem.

Przy podchodzeniu fok, które wydobywszy się na lód, grzeją się na słońcu, używa znów Grenlandczyk następującego fortelu. Na małe saneczki nasadza mały trójkątny żagiel, który je prawie w całości zakrywa i pcha je pod wiatr ku miejscu gdzie się foki wygrzewają. W żaglu jest mały otwór, przez który ocenia myśliwy odległość i możność strzału. Wśród śniegów i brył lodowych zbliżający się zwolna biały żagiel nie płoszy czujnych fok i dozwala zbliżyć się na łatwy strzał. Wtedy godzi myśliwy fokę w głowę i musi ją położyć na miejscu, gdyż jeśli jest tylko zraniona, umyka zaraz pod lód i jest dla myśliwego na zawsze stracona.

Kondory i artysta. Podróżujący po Kordylierach malarz Karol Oenike opisuje następujące spotkanie z kondorami.

„Zapuściwszy się między góry siadłem na skale i przez dłuższy czas szkicowałem. Gdym na chwilę oderwał oko od papieru, ujrzałem w górze ponad sobą kondory jak czarne punkciki na tle błękitu. Po chwili zauważyłem, że niektóre z nich poczęły zataczać koła coraz niżej. Sądziłem, że gdzieś w pobliżu zoczyły zdobycz i na nią spadają, lecz wnet przekonałem się, że to ja sam, siedzący dłuższy czas bez ruchu, stałem się celem ich obserwacyi i napadu. Przysiadłem tedy do ziemi, a wziąwszy broń do ręki, gotów do strzału, czekałem co dalej nastąpi. Tymczasem stado ptaków, które na mnie uwagę zwróciły, wzrosło do poważnej liczby szesnastu kondorów i kilku innych drapieżców. Bez ruchu skrzydeł, zataczając prześliczne koła, spadały coraz niżej na mnie. Już kilka z nich siadło na sąsiednich skałach, a imponującym zaiste był lot dalszych, które spadając ku mnie jak orkan, zaledwo na 10 metrów nad mą głową powietrze z szumem przecinały. Konfidencya ta zaczęła mi nareszcie być niewygodną, zrezygnowawszy tedy z dalszych studyów, przyłożyłem strzelbę do oka i wnet rozległo się echo strzału wśród gór. Jeden z kondorów spadł ciężko na ziemię, inne zerwały się z przestrachem, szukając ratunku w ucieczce. Lecz jeszcze z pod obłoków udało mi się dwa drapieżce ściągnąć kulami na ziemię.“

Fotografować dno morskie — oto usiłowanie, podejmowane dotąd nadaremnie przez przyrodników, którzyby chcieli dobrze wiedzieć, co się pod wodą dzieje, jak się tam życie roślinne i zwierzęce rozwija. Ostatniemi czasy powiodło się docentowi uniwersytetu paryskiego, p. Ludwikowi Bouton, zdjąć kilka udatnych fotografij podmorskich. Początkowo spuścił się ten młody badacz w dzwonie nurków na dno morza w pobliżu ichtyologicznego laboratoryum w Banylesar-Men i próbował zdejmować fotografie sporządzonym umyślnie na ten cel aparatem. Pokazało się wszakże, że rozprószone w wodzie światło słoneczne jest niewystarczające do należytego oddziaływania na płytę fotograficzną, tem bardziej, że dłuższą ekspozycyę uniemożliwiał ruch wody i wynikające stąd zmiany światła. Dobre zdjęcia fotograficzne można było mieć tylko przy ekspozycyi sekundowej, a zatem należało wzmocnić sposobem sztucznym oświetlenie. P. Bouton skombinował zatem aparat fotograficzny z aparatem oświetlającym, który się składa z flaszki napełnionej tlenem i z płonącego w nim, a kloszem szklannym okrytego płomienia spirytusowego. W chwili, gdy płyta wsuniętą zostanie do kamery, naciska fotograf mały balonik gumowy i wdmuchuje za pomocą niego sproszkowane magnesium do płomienia. Następuje silna błyskawica, która wodę i dno morskie szeroko w koło rozświeca i fotografia może być zdjętą.

Zdając sprawę z prób, dokonanych opisanym tu aparatem, opowiada p. Bouton, że każda błyskawica zwabiała mnóstwo ryb w pobliże dzwonu. Duże potwory i małe rybki otaczały aparat, przypatrując się z ciekawością temu nowemu mieszkańcowi wód. Strachu nie okazywały wcale — jeśli nurek wyciągnął ku której z ryb rękę, to umykała tylko na tyle, ażeby jej ręka dosięgnąć nie mogła, ale nie przestawała przypatrywać się dalszemu błyskaniu aparatu.

Próby fotografowania dna morskiego wedle powyższego systemu, były dotąd tylko nieopodal wybrzeży wykonywane. Wynalazca marzy wszakże, iż uda mu się aparat tak wydoskonalić, iż będzie działał automatycznie, a zapuszczony w nieznane dotąd głębie, dobędzie na wierzch obrazy krain i tworów, których jeszcze oko ludzkie nie widziało.

Potrawa z ryb w Japonii. A. G. Savage-Landors, który ogłosił wrażenia z podróży po Japonii i należącej do niej wyspy Jesso, taki daje obrazek swego śniadania w jednej z herbaciarni tej wyspy:

„Każdy wie, że świeża ryba jest lepszą od nieświeżej, ale w przyszłości nie będę hołdował powtarzanej częstokroć maksymie, że ryba nie może być nigdy za świeżą, trafia się bowiem przeciwnie. Przyszedłszy do herbaciarni usiadłem na miękkiej macie, i kazałem sobie podać „bento“ — śniadanie japońskie. Podano mi je na małym, stoliku, a składało się ono z wodzianki, jakiejś sałaty morskiej, kubka ryżu i ryby surowej. Ryba, mała „funa“, leżała na półmiseczku i była nakryta liściem, z pod którego wychylała się tylko głowa ryby. Na liściu były ozdobnie poukładane kawałeczki rybiego mięsa, wycięte widocznie z leżącej pod niemi ryby. Będąc już od dłuższego czasu przyzwyczajonym do spożywania surowego mięsa rybiego, sprzątałem z apetytem leżące na liściu kawałki, gdy w tem, ku wielkiemu przerażeniu memu, „funa, której nieruchome oko zdawało się być we mnie wpatrzone, rzuciła się z pod liścia i liść wraz z półmiseczkiem zrzuciła ze stołu. I cóż się pokazało? Smaczne kawałki rybiego mięsa były istotnie z grzbietu „funy“ wycięte i dopóki na niej leżały, cisnęły ją swym ciężarem i ruch tamowały. Rybka jednak żyła, bo wszystkie jej szlachetniejsze organa były nie naruszone. Przypatrywała mi się zatem, gdym ją żywcem zjadał.., Z wstrętem odwróciłem się od tej barbarzyńskiej potrawy, a oczy „funy“, wpatrzone we mnie, przypominały mi się co chwila i odebrały mi zupełnie apetyt do surowego mięsa rybiego“.

Szanownych członków Towarzystwa łowieckiego. którzy za lata poprzednie i tych, którzy za rok bieżący zalegają z wkładkami, uprasza Zarząd Towarzystwa o jak najrychlejsze wyrównanie rachunku, gdyż bylibyśmy zmuszeni zaprzestać wysyłać im „Łowca“.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zimorowicza 7.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.